

# BLUSZCZ

*Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec*

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 22 LISTOPADA 1930 ROKU

NR. 47

TREŚĆ NUMERU: Straż nad Bałtykiem — *Natalja Jastrzębska*. Poezja interesu — *Jadwiga Kramczyńska*. Taśma życia (nowela) — *Jadwiga Kwiecińska-Korczakowska*. Poezja: „Jesień” — *M. Czerkawska*. Polska radośna i Polska zadumana — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Sinclair Levis — *Z. M. Z życia muzycznego* — *S. P. O. i P. L. Z teatrów* — *S. P. O. Z życia ekranu* — *Stef. H.* Fragmenty rewji w dniu 11 listopada. Kobieta w świecie i w domu. Jeszcze o tytułomanji — *Jadwiga Kieronska*. Sport pieszy — *Dr. M. Kłosińska*. Związek Pań Domu — *Iza Mandukowa*. O umowach służbowych według nowego prawodawstwa austriackiego — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Moda wieczorowa — *Well*. Dodatek powieściowy: „Diagnoza” — *Edith Wharton*. Arkusz wzorów.

## STRAŻ NAD BAŁTYKIEM

Od najdawniejszych czasów historii szła Polska ku morzu. Aż dziwnem się wydaje, że w zamierzonych wiekach, kiedy o właściwej polityce morskiej nie mogło być mowy, królowie polscy rozumieli potrzebę przyłączenia ziem pomorskich.

Powiększenie zakresu władzy, zjednoczenie pod jednym berłem ziem słowiańskich? Czy instynkt niezawodny, że tam jest wyjście na świat i źródło potęgi, że powietrzem Polski jest wiatr od morza?

Trudno dziś dojść; wiemy tylko, że o Pomorze walczył już Mieszko I, a po nim Chrobry i Krzywousty, że ta sama idea łączności była myślą przewodnią ostatniego księcia pomorskiego, Mestwina, który testamentem zapisał dziedzinę swoją Przemysławowi.

Odcięta zdradą krzyżacką, wraca do Polski ziemia pomorska w złotym wieku Jagiellonów.

Rozmach ich polityki, zdrowa myśl narodu, który, mimo szerokich swobód ówczesnego parlamentaryzmu, stał nieprzełamaną podporą silnej władzy królewskiej, wytwarzają większą koncepcję: dwóch mórz, łącząc szlak lewantyński z Zachodem.

Taka była idea polityczna silnej, mocarstwowej Polski. Idea ta załamuje się w chwilach wojen wewnętrznych i upadku siły narodu. Nie zdobyła się Polska na działalność, zakrojoną na miarę ówczesnej akcji silnych państw europejskich, na stworzenie floty, odpowiadającej stanowisku wielkiego państwa.

Powiedzieć można śmiało, że gdybyśmy byli mieli flotę wojenną w czasie rozbiorów, nie byłoby do nich doszło. Gdańsk przecież, ten sam Gdańsk, który dziś śle petycje i skargi na Polskę do Genewy, bronił

się wszystkimi siłami przeciw Fryderykowi „Wielkiemu”. A gdyby mu były pomogły polskie wojenne okręty?

Traktat, rozbiór? Za Jana Kazimierza też kraj był nie tylko rozebrany, lecz zajęty cały, a jednak udało się go ocalić.

To też Niemcy do ostateczności, do ostatnich granic ryzyka bronią Pomorza dla siebie. Zwycięzeni, bez żadnych szans, opierają się wszystkimi siłami oddaniu wybrzeża Polsce, ulegając dopiero pod groźbą marszu wojsk Koalicji na Berlin.

W 1920 r. odgrywa się harmonijny koncert porozumienia niemiecko-sowieckiego. Armja bolszewicka podchodzi pod Działdowo, Niemcy mają jedno marzenie i jedną propagandę: gdy upadnie Warszawa, wkroczą na Pomorze.

Nie wkroczyli, apetyty zawiodły.

Zawiodły, ale nie ustały. W ciągu całego dziesięciolecia nie minął chyba jeden miesiąc, aby nie przypomniano świata „niesłychanej niesprawiedliwości” Traktatu Wersalskiego, przyznającego Pomorze Polsce.

W ostatnim zaś roku rozpętał się w Niemczech huraganowy ogień propagandy wewnętrznej i zagranicznej w tym kierunku. Obecnie już bez osłonek, nie tylko przywódcy partyj politycznych, ale członkowie rządu poważają się mówić o odebraniu Polsce jej wybrzeża. Mowy Treviranusa i Hitlera były, zdawało się, tak bezczelne, że mogły tylko wywołać pogardliwą odprawę. Niestety, różne prądy ideowe — bezwzględnie szlachetne w założeniu, ale zupełnie do



poziomu i stanu moralnego dzisiejszej ludzkości nieprzystosowane, jak „wojujący“ i burmistrzujący po świecie pacyfizm — spowodowały, że rozmaici politycy i agitatorzy francuscy, szukający, w myśl swoich ideałów, porozumienia z Niemcami, dyskutują o pokojowej rewizji sprawy korytarza, na niekorzyść Polski. Ostatnia dyskusja w parlamencie francuskim wykazała wprawdzie bezowocność tych wysiłków; nie udało się przekonać rządu Francji o potrzebie rewizji Traktatu i nawet Briand przyznał, że jest do polityki Niemiec (czy czasami i nie do Pan-Europę?) rozczarowany. Sam jednak fakt, że dyskusja taka weszła na forum Izby francuskiej, wskazuje, że wpływy niemieckie rosną i że musimy wyżyć wszystkie siły dla zniszczenia tej wrogiej propagandy.

Co należy, co może i powinno całe społeczeństwo zrobić w tym kierunku?

Przedewszystkiem trzeba poznać te ziemie. My dotychczas tylko „lubimy“ wybrzeże, które inteligentne sfery społeczeństwa znają, jako przepiękne letnisko. Czy wiemy wszyscy, najszersze masy, czym jest dla nas brzeg morski? Czy znamy jego właściwości, jego lud, jego dane kulturalne, etnograficzne, jego handel, przemysł? Czy rozumiemy wagę otwartej przed tygodniem linii kolejowej Śląsk—Gdynia, wymowę cyfr komunikacji i eksportu?

Owszem, pisze się o tem dużo. W ostatnich czasach pisma podały graficznie wspaniały rozwój portu gdyńskiego, działa Liga Morska, pracują owocnie entuzjaści morza, jak jeden z najzasłużeńszych pionierów, niezmordowany generał Zaruski, ale chodzi o to, aby te poszczególne wysiłki poparł jednolity front całości. Wszyscy, każdy dorosły obywatel i każde dziecko polskie. Mówić o Pomorzu nieustannie musimy wszędzie: w każdej szkole powszechnej, w każdym stowarzyszeniu, w wojsku, w prasie, w domu rodzinnym. Wszyscy musimy znać morze i ziemie wybrzeża, jak swoje, własne, najbliższe dobro. I tak ich nieustannie, całą czujnością, wszystkimi siłami strzec.

Akcję w tym kierunku rozpoczął już Związek

Obrony Kresów Zachodnich, urządzając od 15 listopada do 15 grudnia miesiąc propagandy pomorskiej; jest to odzew na mowy Treviranusa i Hitlera.

Cały miesiąc. Nie znaczy to, że propaganda ustanie po tym terminie. Ale czas ten powinien wystarczyć na to, aby do najdalszych krańców Rzeczypospolitej doszły wieści o wadze sprawy Pomorza, aby w każdym środowisku sprawę tę poznano, zrozumiano jej znaczenie i poparto ją czynem. Więcej: aby w akcji tej zjednoczyli się wszyscy polacy, zarówno ci, co żyją we własnym państwie, jak i mieszkający poza jego granicami. I ci najbliżsi, dyplomatycznie przeszechrowani w 1920 r. mazurzy i warmjacy, jak i dalecy, a zawsze ofiarni dla starej ziemi, wychodźcy na ziemi amerykańskiej.

Wielki, trzydziestomiljonowy naród da radę panu Treviranusowi, musi tylko chcieć!

Środek jest jedyny: wzmocnić tak siły floty polskiej morskiej i powietrznej, aby każdy zamach na całość wybrzeża móc skutecznie odeprzeć.

Potrzeba nam paru pancerników i krążowników, kilkunastu kontrtorpedowców i łodzi podwodnych, licznych eskadr hydroplanów.

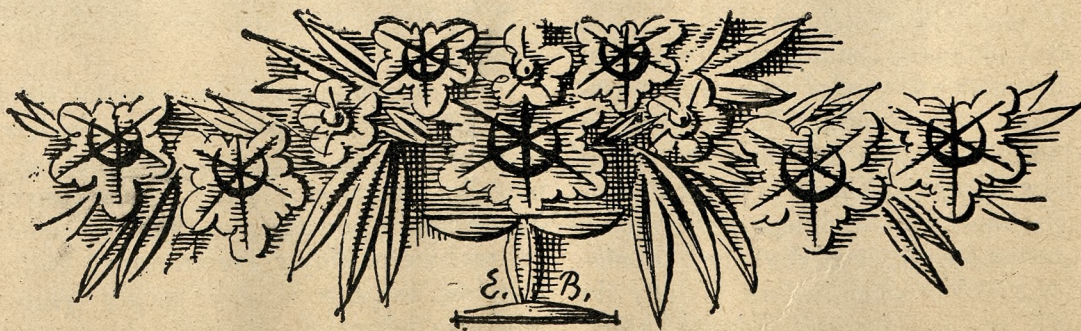
Bez nich nie będziemy mogli obronić Pomorza, albo zmuszeni będziemy liczyć na pomoc sprzymierzeńców, zapewne, chętną i zagwarantowaną, ale — nie własną, a już tem samem zależną od wielu okoliczności i wskutek nich zawodną.

Taką flotę mieć możemy, jeżeli utworzenie jej postawimy na czele zadań naszej polityki, jeżeli zjednoczą się w tym kierunku wysiłki rządu i narodu. Na ten cel każdy polak znaleźć musi grosz i czas do pracy i to w imię zasady zarówno obowiązku, jak istoty samej własnego bytu.

Niedarmo proroczy umysł Skargi porównał Polskę do okrętu. Tak, kto nie ratuje okrętu, gubi jednocześnie siebie. Dziś ratunkiem, ostoją i bezpieczeństwem Polski stał się okręt — morski i powietrzny.

Musimy go mieć, musimy dać Polsce flotę, a na żądanie Hitlera odebrania nam Pomorza odpowiedzieć, że Grunwald był i może być drugi!

Natalja Jastrzębska.





JADWIGA KRAWCZYŃSKA.

## POEZJA INTERESU

W polskim świecie spółdzielczym coraz bardziej odczuwana jest konieczność żywszego, niż dotychczas, udziału kobiet, ich szerszej i pogłębionej współpracy. Wprawdzie ponad 10.000 kobiet, członkiń spółdzielni, wykazały spisy jednego tylko Związku Spółdzielni Spożywców w roku 1928, lecz jest to liczba procentowo nieduża — zaledwie 10 proc. ogółu członków — a przytem nie mówi o charakterze przynależności organizacyjnej i istotnym, to jest czynnym udziale w ruchu ideowym.

Udział ten jest faktycznie niezmiernie słaby — bierny. Kobiety, jako członkinie spółdzielni, ograniczają się do posiadania książeczki udziałowej, za którą załatwiają zakupy w sklepach spółdzielczych, a jako udziałowczynie kooperatyw mieszkaniowych wpłacają składki — i na tem koniec. Kilka wyjątków — działaczki i kierowniczkę spółdzielni — to tylko potwierdzenie reguły.

Kierujące koła spółdzielcze prowadzą tedy obecnie akcję w celu zachęcenia kobiet do zainteresowania się ideami i zasadami spółdzielczości i przystępowania do prac organizacyjno-społecznych na terenie spółdzielni, co w dalszym ciągu spowodowałoby odpowiedni udział kobiet w zebraniach, zarządach i radach spółdzielni. Cały numer 21-ty dwutygodnika „Społem” poświęcony jest sprawom udziału i roli kobiet w spółdzielniach spożywców i zawiera pod tym względem interesujące dane z polskich stosunków i z zagranicznych doświadczeń.

Utarło się w opinii powszechnej przypisywanie spółdzielczości roli wyłącznie praktycznej, utylitarnej, gospodarczej. Sklepy, spółdzielnie mieszkaniowe, robotnicze i urzędnicze, spółdzielnie rolne, kredytowe, hodowlane, mleczarskie, maszynowe, spółdzielnie wojskowe, banki spółdzielcze — oto, co widzi szersza publiczność. Błąd ten popełniają także rzesze kobiety, które zadowolają się kupowaniem dobrego, tańszego towaru w sklepie spółdzielczym, by w terminie otrzymać ponadto premję — dywidendę.

I jest to nawet dość dziwne, że kobiety tylko z tego ciasnego punktu widzenia ujmują zagadnienie spółdzielczości, będące wielką i szlachetną ideą o doniosłym, społecznym znaczeniu.

Spółdzielczość na podstawie ekonomicznej zbudowała gmach idei etycznej i polityczno-społecznej. Gospodarka spółdzielcza i nowe formy organizacyjnego współdziałania ludzi opierają się na odwiecznych zasadach miłości bliźniego i solidaryzmu społecznego — w konsekwencji swego dalszego rozwoju odwołują się jednak do człowieka, jako do jednostki indywidualnej, udoskonalonej do tego stopnia, iż jej wolność służy dobru ogólnemu.

W tem ujęciu spółdzielczość jest antytezą współcześnie wybujałego nacjonalizmu, faszystów, lub uspołecznienia produkcji w sensie bolszewickim — prądów, pod różnemi postaciami dominujących dziś w Europie.

Zdaniem Edwarda Abramowskiego — nieodżałowanego dla spółdzielczości społecznika-filozofa — kooperatywy

„urzeczywistniają ideał unarodowienia, zamieniają pracujących na współwłaścicieli wszystkich przedsiębiorstw, przystosowują produkcję do interesów ogółu spożywców, z „nadwartości” czynią wspólną własność stowarzyszonych, dają ludowi samorząd gospodarczy. To, co je różni od tego „unarodowienia” państwowego, z którym żyła się myśl nasza, jest to jedno tylko, że nie odbywa się ono przymusowo, pod komendą biurokracji, lecz swobodnie, mocą naturalnego interesu ludzi i mocą samej idei; że, urzeczywistniając wspólność ekonomiczną, nie zabija jednocześnie wolności, ducha inicjatywy, samopomocy, działalności osobistej, lecz przeciwnie, wymaga tego wszystkiego, rozszerza, wzmacnia, zaszczenia, tworzy nietylko demokrację społeczną, ale i prawdziwych demokratów, to jest ludzi samodzielných”.

Idealizm spółdzielczy polega na wierze w lepszą naturę człowieka. Ten piękny optymizm przyciąga serca i umysły, dążące do doskonalenia się i wzajemnego pomagania sobie w osiąganiu idealniejszych celów. To też wszędzie, gdzie istotnie rozwijają się placówki spółdzielcze, występuje na jaw akcja kulturalna pod postacią tworzenia bibliotek, kół oświatowych i samopomocy, instytucyj opiekuńczych dla dzieci, spółdzielni młodzieży harcerskiej, wiejskiej i rzemieślniczej, sklepików spółdzielczych szkolnych, mających głębsze znaczenie wychowawcze, i t. p.

„W spółdzielniach, niezorganizowany dotychczas tłum zapoznaje się z koniecznościami gospodarczymi, uczy się praktykować solidarność, poczyną rozumieć, należycie oceniać, co więcej — kochać wspólne dobro. Spółdzielnie są też szkołą, w której kształcą się i dojrzewają talenty administracyjne, techniczne i organizatorskie” —

oto zdanie znakomitego działacza spółdzielczości polskiej, nieżyjącego już Romualda Mielczarskiego.

Jaki powinien być stosunek praktyki spółdzielczej do idei — to ujmuję nadzwyczaj jasno Edward Abramowski, gdy pisze („Związki Przyjaźni”):

„Człowiek wstępuje do kooperatywy przedewszystkiem dla własnego interesu, a tylko niektórzy robią w niej więcej, niż własny interes wymaga. Nie czynię z tego zarzutu kooperatywowi, gdyż one, jako instytucje ekonomiczne, muszą dbać przedewszystkiem o swój materialny rozwój, o swoją potęgę finansową, bo inaczej nie spełnią swego zadania społecznego.

Ale obok tego musi być także i owo ognisko moralne, gdzie dokonywa się odrodzenie duchowe człowieka, gdzie kształci się kooperatysta prawdziwy, człowiek nowy”.

Etyczne ustosunkowanie się człowieka do otoczenia zmienia się u „prawdziwego kooperatysty”, co określa w dalszym ciągu E. Abramowski, jako reformę zasadniczą:

„Człowiek przestaje być osamotniony i bezbronny w ciężkich dniach życia, znajduje gromadę przyjaciół, która mu udziela rady i pomocy, obrony przed wyzyskiem i krzywdą, siły moralnej i wiary w jutro”.

Czemu system spółdzielczy, łączący tak ściśle korzyści natury materialnej z pobudkami natury etycznej, ten interes, opromieniony poezją, nie ma dość zwolenniczek wśród kobiet polskich?



Kooperatystki angielskie tworzą, na przykład, bardzo silne zrzeszenia o szerokiej działalności społeczno-wychowawczej, a nawet feministycznej; angielsko-szkocka Liga Kooperatystek, kierowana przez kobiety na maczelnych stanowiskach, liczy 130.000 członkiń. Niemki, należące do ogólnych związków spółdzielczych, stanowią w nich 18,5 proc. ogółu, a w zebraniach i imprezach spółdzielczych biorą znacznie liczniejszy i żywszy udział, niż mężczyźni. Dzięki temu, są silnie reprezentowane we władzach spółdzielczych, w radach nadzorczych i zarządach. Skrupulatne statystyki niemieckie podają, iż około 2.500 kobiet zajmuje stanowiska we władzach spółdzielczych!

Bardzo dobrze rozwinęła się spółdzielczość wśród kobiet skandynawskich, w Finlandji, oraz w Austrii

i Czechosłowacji, w krajach, w których stanowisko społeczne i prawne kobiety nie podlega już niemal żadnym faktycznym ograniczeniom.

Pole do akcji spółdzielczej w Polsce jest bardzo duże, zarówno w miastach, jak i na wsiach. Pole wdzięczne dla kobiet. Spółdzielczość jest — nawet z czysto praktycznego punktu widzenia — równie potrzebna kobiecie, jak kobieta spółdzielczości.

Spółdzielczość ponadto jest dziedziną, w której, z zasady i niejako z natury rzeczy, kobieta jest nie tylko na równych prawach, lecz poniekąd mogłaby być uprzywilejowana, jako przedstawicielka i znawczyni odwiecznego i najbardziej rozpowszechnionego gospodarowania w domu i rodzinie. Chodzi o to, by zadatki i kwalifikacje te przenieść na szerszy teren gospodarki społecznej i współdziałania kulturalnego.

JADWIGA KWIECIŃSKA-KORCZAKOWSKA.

## TAŚMA ŻYCIA

(nowela)

Codziennie podłużne, ruchliwe pudła wagonów, powiązane w karne łańcuchy, jadą — w świat. Świat jest nieznany, tajemniczy, utęskniony. Życie zatrzymało się na jednym punkcie mapy: na malej, niemal zagubionej stacyjce. Życie z biedą, z mężem i dziećmi, z tęsknotą — i bez miłości (pst... o tem nie można myśleć głośno).

Na oknach papierowe firanki, doniczki astrów. Zaraz, za szarą szybą przylepiony błękitny skrawek nieba, gryzący oddech dymu, a w dole odłamek stacji: obnażone, wyprężone, sine żyły szyn. Szyny lecą, mkną za kwadraty czerwonych dachów, za ciemną wstążkę lasu — w nieskończoność.

Ewa musi patrzeć (musi), jak telepią się co dnia, przesycane czarnym pudrem węgla, długie gąsienice towarówek, jak kołacz rytmicznie obciążone wagony osobowych — i zawsze nadsluchuje nocą ostrego gwizdka expressu (Warszawa—Paryż). Przeleci, zatrząsie szybami, lekceważąco ominie stację, zginie. Rozpali nanowo mękę tęsknoty (wiadomo, właśnie napewno wiadomo, że nigdy nie pojedzie się tam...).

Zawiadowca stacji (czerwona czapka, zastarzały reumatyzm, choroba płuc — tępota). Żona — blada, dziewczęca twarz, zmęczone dłonie, niewygasła tęsknota w oczach.

W ceglanych kwadracikach bielonych pokoi przewija się wstążka życia blado i monotennie. Płacz dzieci. Gwizd lokomotyw. Zapach szmalcu. Wieczorem kaszel męża, gazeta.

I nowiny:

— Dziś osobowy spóźniony o dziesięć minut.

— W N. zmieniają dróżnika.

— Jutro wyjeżdżam w służbowej sprawie.

Ewa powoli, bezmyślnie zmywa po kolacji. Nafotowa lampa drży nierówno. Wielki, pamiątkowy zegar skrzypi gderliwie.

(O, żalu!... jak drżą lekliwie i szepczą liście osiny przydrożnej — zawsze tak samo... O, tęsknoto!... jak cichutko, nieustannie kołacze serce za miłością, za szczęściem).

\*

W zakurzonem, wielkiem pudle pokoju terkoczą trzy maszyny: dwie zwykłe, jedna okrętowa. Twarda, nieustępliwa igła kłuje szorstki miąższ zamszu, chłodny lep jedwabiu, niestrudzenie, szybko. Kilka młodych głów pochylonych nad zwitkami kolorowych tkanin. Chuda, suchotnicza pani Adela (magazyn mód na Solcu) uwija się skrzypliwie, nieustannie, jak czółenka maszyn. Poprawia, gderze, kroi, walczy z glupim wypchanym manekinem. Gdy wyjdzie z pracowni, dziewczyny szepczą:

— Helka była wczoraj na schadzce...

— Życie jest pies! znowu ojciec wrócił pijany i pobił matkę... — (ruda Zosia).

— Jest przecudowny obraz w „Tęczy“... może Maniek mnie dziś zabierze... — (Flora).

— Matkę zabrali wczoraj do szpitala... Psiakrew! życie już się znudziło... — (czarna Fela).

Ewa nie odzywa się, nie podnosi długich rąk z nad roboty. Nie śmie. Od najwcześniejszego dzieciństwa wstydi się ludzi (wiadomo: podrzutek; stara ciotka — wiedźma, znana w okolicy. Ta ciotka wiedźma, tłustem ciałem zasłania drzwi na świat). W domu dzieją się niestworzone rzeczy. O tem nie mówiło się w szkole (trzy oddziały), ani na ulicy; dopiero tu, w pracowni. Szarpia ją, kłują, nienawidzą (a może dla tej jasnej urody?). Wspólna nędza ostrzy języki, zakrzywia paznogie. Ewa nauczyła się przetykać krzywdę (musi być kiedyś inaczej!). Teraz zagarnia ku sobie szeleszczące, czyściutkie jedwabie i ślizga się po nich pieszczotą. Marzy. Maszyny terkoczą; syczą złe, nieszczęśliwe szepty koleżanek, w okna bije stalową różgą deszcz. Czasem słońce topi się w Wiśle. Daleko narasta potęga niewiadomego. Ulice przewalają się jedna przez drugą. Miasto huczy.

— Ciotko, a kto była moja matka?...

Strzępi się żal, przytłacza stupudowy blok muru — kwitnie w czystej, ocalałej duszy kwiat marzeń.

O siódmej maszyny milkną. Dziewczyny długo czyszczą zgrabne, gabardinowe kostjomy, długo przywierają w lustrze kolorowe berety. Flora kupiła so-



bie kołnierz z „angory“ (na obiad zato suchy chleb). Ma nawet jakby nowe, wymanicurowane paznogie. Szybko zbiegają ze schodów. W młyn miasta, na parę godzin życia.

Na Ewę nikt nie czeka przed bramą.

\*

Zapoznali się przypadkiem:

— Zgubiła pani rękawiczkę...

Park Skaryszewski, szeroki, jasny, złoto-zielony. Wiosna, może już lato. Ruchliwa, tłoczna niedziela. Ewa lubi patrzeć na łabędzie — białe coś, czyste, poważne. Podobne do kwiatów i do duszy. I raz te zwyczajne słowa: zgubiła pani...

I tak nowe życie zaczęło się od miejsca poetycznego: ławka nad wodą, zieleń, łabędzie. Dawny smutek, los ucałował w oczy, w usta. I już odtąd, gdy raz nazwała go: Jerzy — to było napewno imię jedyne i właśnie to. (Rosną sobie czasami na pustych łąkach jaskrawe, kwietne dziewanny).

— Ewa, Ewunia. Ma pani urodę Ewy Żeromskiego. Nie czytałaś pewnie „Dziejów grzechu“, mała moja, co?

Ostatecznie znudzi się Przybyszewski i Szopenhauer, zdenerwuje mistycyzm, dekadentyzm, superrealizm. W pauzie między wchłanianiem w siebie wiedzy nowej, a kształtowaniem nowych idei (książka spadła pod ławkę), może być właśnie „takie coś“. Pauza może mieć zachwycone oczy i wilgotne usta dziewczynki z parku Skaryszewskiego. A potem (no, troszkę później) daj całować te usta, daj siebie na własność, bo ja jestem bardzo mądry, bo ty masz (skąd, u diabła, aż taką?!) zaczarowaną duszę. Jesteś prosta i świeża nieporównanie; nie łykałaś nic, nie pogięłaś sobie pojęć literaturą... mała moja, co? dobrze?

Ależ tak, tak, naturalnie. To nie da się inaczej tłumaczyć. Tylko kragłe, miodne słowo: kocham. O tobie właśnie marzyłam. Ty jesteś miłość i wszystko szczęście. Słodkie westchnienie: nareszcie. I lep miłosnych kołysanek: Ewuś, ty mała moja gwiazdo, moja siło! Śliczna z ciebie gapcia. Nie, nie nie czytaj, nie ucz się, to wszystko błaga. Ty sama jesteś pięknem i prawdą.

Ale Ewa przedziutko zbiega ze schodów pracowni, do domu, w kąt, z książką. Zabiera od niego. Czyta, gorączkuje się, marzy na jawie. Ściemnił się, zszarzał najbliższy świat — ciotka — brud; przenoszą się myśli coraz dalej, wyżej. A wszystkie spięte czerwona kłamrą: miłość. Najszczersza, szalona miłość złoto-włosej Ewy z magazynu mód.

Koleżanki czują coś odrazu, przepytują (zyskała szacunek). Ale nadal skłania Ewa promienną twarz ku robocie, skrycie, tajemniczo przeżuwa smak szczęścia, smak rozkoszy i uśmiechniętej młodości. Dopiero, gdy pojechał (dworzec: „Dobrze, mała Ewo, będę pisał, dowidzenia!“ — Rozszlochane, słone usta chłoną ostatni pocałunek. Rozpacz wplata się w koła wagonów) — dopiero wtedy musiała zwierzyć się przez lzy:

— Pojechał do Paryża na studia... o, tak! bardzo mądry, student... tak, bardzo zakochana... na długo, na lata, na nieskończoność... to jest nie do zniesienia...

Zdecydowały się po naradzie bezsłownej na ochłap litości:

— Nie bez, Ewa. Życie już takie... — (Helka).

— Głupia byłaś, on przecież nie wróci — (Flora).

— Oni wszyscy jednakowi, psi nasz los! — (Fela).

I wypełzło najgorsze, zgrzytliwe słowo, wyciśnięte z czerwonych ust Flory:

— Niema miłości.

O, ale to była nieprawda. To było kłamstwo! Ewa umilkła i żal jej było zwierzeń. Zazdrośnie schowała cierpienie. Nanowo siekł różgami los, nanowo zmieszały się pojęcia. Ale pod popieliskiem wzruszeń pozostał płomień jedynej miłości.

Czekała. Napisze, obiecał. Wróci. Codziennie odchodziła od okienka poczty — nie było. I nie napisał (paryżanki mają dużo gracji).

Kpiła z niej nawet pani Adela. O, jakże żałowała swojej słabości skarg. Wszystko, co miało związek z Jerzym, nawet rozgoryczenie i tęsknota, nawet ból — miało charakter niecodzienny — było prawie święte.

Najwięcej podeptała to ciotka. Nagle oburzona, cnotliwa (!) niewiasta.

Dowiedziała się dopiero, gdy już było wiadome to najgorsze: za parę miesięcy będzie dziecko (Jurku! Jurku!...). Ewa teraz to był śmieć, to było coś, to był plugawy pies.

Tłusta kobieta szalała ze złości, zazdrośna, ochrypla z krzyku. A w Ewie zupełnie przeciwnie: cicho kwitła macierzyńska dostojałość. To, co mówili, krzyżeli ludzi, to było daleko; tuż pod sercem rósł cud wielkiej miłości.

Ale jakże smutna jest zorza poranku, której nie mogą zobaczyć nowe, malutkie oczy człowiecze. Kiedy wyfuskany z ciała owoc nie chce światła i odchodzi w niezrozumiałą nicość: syn urodził się nieżywy.

\*

Kolejarz „starszy, rzetelny“. Jeszcze kawalerski „gość“ domu ciotki. Żona umarła, troje drobiazgu. Potrzebują opieki. Ewa młoda, jeszcze ładna.

— Ależ, naturalnie, bierz ją pan! (Łaska Boska na to popychle!). Bierz! Bez pieniędzy. To jeszcze zaszczyt dla takiej! — Ciotka szczęśliwa.

Ach, więc tak gorzko, tak słono smakuje ślub...

— Taka to ma szczęście! — wzdychają w kościele inne.

Szczęście? (Ono już nie ma imienia. Na polach szarych tęsknot powędłły słoneczne dziewanny).

Daleko zostaje mała mogilka miłości, piekło miasta, młodość. Nowe życie zatrzymuje się na malej stacyjce, w pokoju z astrami na oknach.

\*

Ewa gładzi dłonią chłodne szkło szyby.

— Nie stój przy otwartym oknie, jeszcze cię zawieje... Moja nieboszczka żona...

— At, cóż mi życie...

— Złe ci życie? Jeszcze ci złe? Może narzekasz? No powiedz, narzekasz?

— Nie, już nie. — (Niema sił rozmawiać z tym obcym, starym człowiekiem).

— A Staś nie kaszał?

— Nie. — (Mizerniutki, chorowity Staś...).

— A Zosia ma apetyt? Czy masz dla mnie jarzynkę? Będą odnawiali front domu... wiesz, od jutra. (... Zaraz, gdzie to było? Aha, to Ewa Pobratymska... swoje własne dziecko... br...)

— Widzisz, zmarłaś. No, napij się ze mną herbaty, odezwijs się do mnie... moja nieboszczka żona jeszcze u twojej ciotki... co? znowu płaczesz? Co ci jest wreszcie?

(Ach, widzisz, już sześć miesięcy, dziesięć, czter-



naście, łomoczą pod oknami pociągów... a ja stąd nigdy... nigdy...)

— Nic, to nic. Przypomniałam sobie dawne...

Tak, Ewa, żona zawiadowcy stacji (!) przypomniała dziś sobie całe dawne życie. I rozekłała znowu krzywdą i tęsknotą nieznośnie, szarpiająco. Tyle dni, tyle miesięcy! Helka miała odbierać listy z post-restante. Nie przysłała żadnego. Każdej nocy jedzie express — Warszawa—Paryż. I dzisiaj przeleci też — ognisto-oki, straszny wąż. I znów nie przyniesie technienia miłości. Zmiażdży, strąci serce. Tylko tamto jedno, tamto z imieniem: on — jest życiem; ale czekanie ma już posmak piołunu i kolor szarugi. Właśnie — a jakiego koloru może być śmierć?...

Nikną w mroku szkielety osin za oknami. Śpiewa przeciągle wiatr.

Mąż zdjął czerwoną czapkę, wypił herbatę i wtoczył pod dobroczynny puch pierzyny chude, stare ciało. Zgasła leniwie lampa.

Cisza bije po skroniach, laskocze w gardle.

(Kto to mówił: niema miłości. Nieprawda! Jest, nieśmiertelna. No tak).

Ewa czuje, że dziś nie zniesie gwizdka o pierwszej w nocy. I rozumie: tak przecież dłużej nie można żyć, nie. (Jurku, Jurku — muszę ci powiedzieć: miałam syna. Pisałam do ciebie dużo listów, są u mnie w komodzie. Mówiłeś, że świat wesóły. Wesóły był w twoich oczach. Czemu nie chcą patrzeć one na mnie? Kazałeś wierzyć — wierzę. Kazałeś kochać — kocham. Przyjdę do ciebie i powiem: wiesz, nasz synek nie żyje...)

Za godzinę, za trzy przeleci express. Wyprężone, nęcące szyny czekają, aby je pogłaskać ciepłą dłonią... Prowadzą nieomylnie i prosto — do szczęścia... Maszynista nie zauważy w ciemności cienia ludzkiego... A potem — nic...)

Ewę wstrząsnęło zimno. Bardzo ciężko było zwlec się z krzesła, wstać i pójść. Pójść tam. Trzeba było jeszcze parę sekund żyć w tym pokoju. Może właśnie było to najcięższe: przejście z pojęcia w ruch prawdy.

Rozerwał nagle mgłę wysiłku ostry kaszel dziecka. Coś poruszyło się w kącie i bosym, niezgrabnym plaskotem przybiegło do Ewy. Wgarnęło się na kolana, westchnęło. Chude rączyny opłotły szyję.

Wystarczyło tej ucieczki, tej ufności, aby tryśnięły z oczu łzy, nieposkromione, ciężkie i gorzkie.

— Mama...

Jedno małe słowo. (Może to ty, maleńki, stracony synku?...)

— Nie płac, mama, nie płac, bidna mama!... mi też zimno, ja cie kocham...

(Kocham — okragłe, miodne słowo?)

Co to się stało? Ciemna zasłona w oknie na świat zaczyna się drzeć, strzępić. W czującym, małym sercu odezwała się siła życia i krzyczy w głos:

— Broń mnie!

Otwartą, jasną dłoń śmiało chłoszcze rozpacz i ból: tu także będzie cierpienie, w tem dziecku. (Nie masz mamusi, Stasiu — ani ja nie mam synka. Ale przecież ty musisz jakoś żyć — więc i ja?)

Rozszlochał się żal, rozwałkł, zrzędl w bezradnych, rozczulonych westchnieniach. W tem niema długich rozmyślań:

Biedne, pokrzywdzone dzieciaki.

Jeszcze nie można iść tam. Drobne, owinięte koło szyi ramię grozi: nie krzywdź, musisz zostać! — Z oczu niewinnie jasnych wyjrzał nakaz prawdy: nie wolno ci umrzeć! — Bezbronne, przeraźliwie ufnie przytula się do łona mały człowiek. Nagła, najszczerza chęć: nie dać mu cierpieć!

Kapią łzy wolniutko na dużą głowinę chłopca.

(Kto to kiedyś powiedział: niema miłości. Nieprawda! Zawsze i zawsze: „życie zaczyna się jutro“).

Monotonnie bije o szyby deszcz.

Co to się stało?

Aha: dobro ma kolor błękitny i ciepłą dłonią tłumi krzyk śmierci.

(Nie można deptać małych, nikłych kwiatków na łące życia).

Zasnęła Ewa w ciepłym uścisku z dzieckiem.

Pierwszy raz nie słyszała, jak przeleciał express o pierwszej dwadzieścia.

M. CZERKAWSKA.

## JESIEŃ

Biegnie dookoła gazonu wciąż ta sama droga — —

Towarzyszy jej niezmiennie mierny druh, żywoplot z głogu.

Obok stoją ławki dwie, lśniące, jak z białego atlasu —

mija się je prędko: odpocząć nie można, niema czasu.

Z wysokich lip bez pośpiechu opadają, lecą liście...

Nie pędzą na żadne spotkanie, nie czekają na przyjście — —

Ważą się w powietrzu mniejsze i większe, większe i mniejsze...

Chciałoby się stanąć, patrzeć — lecz jest tyle spraw ważniejszych.

Tylko ruch zapada w pamięć — liście, blask, lipy wysokie...

I wahanie udziela się bezwiednie zwolnionym krokom.







Zofia Stryjeńska: „Sobótka”.

STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

## POLSKA RADOSNA I POLSKA ZADUMANA

(w obrazach Stryjeńskiej, w rzeźbach Kuny, w pastelach Wyspiańskiego).

Warszawa obecnie aż kipi od wystaw, i to wystaw pierwszorzędných.

Zofia Stryjeńska w salonach Philipsa pokazała nam w liczbie blisko osiemdziesięciu eksponatów niesłychanie ciekawy, choć niekompletny, dorobek paru ostatnich lat. W tym natłoku i zamęcie bogów, tak bardzo bliskich ludziom, ludzi zbudowanych na miarę bogów: siły, ruchu i radości, tych chłopo-królów i królewskich chłopów — widz staje olśniony i przytłoczony jedną myślą: jak wiele dziedzin życia polskiego wypełnia sobą ta wspaniała, bujna, niepohamowana indywidualność.

Więc najprzód siły kosmiczne, żywioły: to „Ogień” i „Woda” — wielkie kompozycje, przeznaczone do poselstwa naszego w Sofji; dalej „Cztery pory roku”, a potem to wszystko, co stoi na granicy między człowiekiem, a żywiołem, magja ludowa: „Gusła Słowian” i „Obrzędy”; wyraz zbiorowego temperamentu ludowego, tańce i śpiewki: więc „Muzyka Podhala” i „Na góralską nutę”; a potem legendy: „Pan Twardowski w Warszawie” i sielanki i ballady („Uroczysko”). Wreszcie utylitarna strona życia ludu: „Rzemiosła”.

W tym, z tytaniczną mocą i witalną pasją wskrzeszanym świecie bajecznej Polski drga serce na-

wskroś nowoczesne: kult siły, kult życia, kult radości. Ta religja pogańskiego piękna, sięgając do źródeł prabytu polnych i leśnych słowian, przekreśla po drodze wszystkie później nabyte tradycje, wszystkie wiekami omszałe autorytety. Stryjeńskiej obce są pojęcia majestatu, dostojęństwa i tragicznej grozy, jakie tkwią w istocie wyobraźni Wyspiańskiego. Dlatego jej „Krag Piastów” jest zaprzeczeniem naszych ustalonych pojęć o majestacie pomazańców; dlatego nawet śmierć odarta jest z grozy i powagi i przyodziana w makabryczną maskę groteski ludowej („Dziady”).

Stryjeńska, przy całej nowoczesności swej kultury artystycznej, jest w gruncie rzeczy naturą prymitywną, nawskroś żywiołową, impulsywną. Nie rozważa, ale pasja dyktuje jej czyny artystyczne. Nie intelekt, ale instynkt jest źródłem tych wulkanicznych erupcyj barw i kształtów.

Słusznie powiedział o niej Jerzy Warchałowski we wstępie do katalogu jej prac: „Stryjeńska żyje w puszczy, w puszczy Polski przedhistorycznej”. Dodajmy, że z tego zlokalizowania jej wyobraźni płyną wszystkie zalety i wszystkie braki tego olbrzymiego talentu. W kręgu jej wizji brakuje Polski rycerskiej, Polski romantycznej. Na ostatniej wystawie spotykamy jeden obraz, który jest jakby pierwszym krokiem





Henryk Kuna: „Główna”.

do wypełnienia tej luki. To — „Uroczysko”. Odsłania nam on nowe, nieznane dotąd oblicze Stryjeńskiej — romantyczki. Na tle księżycowego krajobrazu, w którym wszystko: księżyc, chmury, drzewa i wzgórza zdają się pisać rytmem lunatyczno-balladowym, para zakochanych tonie w uścisku. U stóp wzgórza koń osiodłany czeka na panicza. Całość — to uplastyczniona ballada. Wieje z niej księżycowy czar zadumy i sentymentu, którego napróżno szukalibyśmy w dawniejszych dziełach Stryjeńskiej \*).

Rzeźby Henryka Kuny, ustawione w tych samych salach, dają odpoczynek oku po tym orgjastycznym korowodzie barw i kształtów, jaki w zawrotnym tempie poprowadziła przed nami Stryjeńska. Jeżeli istotą jej sztuki jest dynamika, to rdzeniem sztuki Kuny jest statyka. Te stylizowane w hieratycznych pozach postacie kobiece, te głowy, pełne zaświatowej zadumy, rozjaśnione mistycznym uśmiechem, zdają się odżegnywać od rzeczywistości ruchem błogosławiącym, pełnym przebaczenia, wstydu i podświadomej ascezy. Obnażone kapłanki Kuny niczego nie zdobywają, zato wyrzekają się wszystkiego. Kształt ludzki nie jest w nich dla artysty celem, ale pretekstem do wypowiedzenia się w kompozycji plastycznej, ujętej w surowy schemat stylowy. Styl Kuny polega na doskonale zharmonizowanej, płynnej linii rytmicznej. Rzadko kiedy spot-

\*) Reprodukację „Uroczyska” podajemy na okładce niniejszego numeru.

kać można rzeźby tak bardzo „muzykalne”, nastrojone na jeden ton.

W lokalu Klubu Artystycznego w Polonii otwarto wystawę Stanisława Wyspiańskiego. Organizatorom wystawy, z prof. Karolem Stryjeńskim na czele, udało się zgromadzić sporo cennych prac mistrza, rozproszonych po prywatnych zbiorach w Warszawie. Rzecz prosta, niema tu najwspanialszych jego dzieł o charakterze monumentalnym, z wyjątkiem dwóch wizerunków królewskich, pełnych majestatu i siły wyrazu. Ale zato są mało znane, a przykuwające głębokim urokiem portrety i studja kobiece: „Dziewczynka z mirtom” o rzadkiej finezji dziecięcego wyrazu i „Dziewczynka z fiołkami”; niezwykle, jak na Wyspiańskiego, zdecydowany, prawie jaskrawy w kolorystyce „Podwójny portret p. Z. Pareńskiej”; Irena Solńska, jako „Kobieta szyjąca”; Ordon-Sosnowska w roli „Krasawicy”; szereg portretów męskich; kilka przedudnych krajobrazów podkrakowskich z cyklu „Z mojego okna”; parę warjantów „Macierzyństwa”, wreszcie patetyczne ilustracje do Iliady.

Wystawa ta jest nie tylko hołdem, złożonym jednemu z największych mistrzów i ojców polskiej sztuki. Naświetla ona jego twórczość retrospektywnie, dając nie tylko szczupłemu gronu znawców, miłośników i posiadaczy dzieł mistrza, ale i szerokiej publiczności możliwość powrotu do tej atmosfery wysokiego ciśnienia artystycznego, jaką wytwarzał wokół swych prac Wyspiański.

Jednocześnie ujawnia ona konieczność stworzenia jakiegoś muzeum zbiorowego, jakiegoś domu Wyspiańskiego — tak, jak istnieje dom Matejki — skupiającego rozproszony dorobek wielkiego artysty w jedną całość.



Stanisław Wyspiański: „Dziewczynka”.



## SINCLAIR LEVIS

Ameryka i jej kultura dopiero od niedawna są terenami, wśród których nasz europejski umysł porusza się zupełnie swobodnie.

Niewiadomo, czy magnesem, który zwrócił w tamtym kierunku nasze zainteresowania, był wszechpotężny dolar, czy może arcydziwna psychika ludzi z tamtej strony Oceanu; dość, że wymiana intelektualna między starym i nowym światem jest coraz żywsza. To też fakt przyznania tegorocznej nagrody Nobla pisarzowi amerykańskiemu przyjęła Europa bardzo życzliwie, tembardziej, że oddawna interesowała się żywo twórczością Sinclair'a Levis'a.

Wynika to zapewne z tego, że Sinclair Levis, przez różnorodność swoich czynników twórczych, jest bliższy zrozumieniu „amerykańskości”, zawartą w schemacie business'u, dolarai staniskich. W utworach swych wychodzi daleko po za tradycyjną „amerykańskością” zawartą w schemacie business'u, dolara i standaryzacji życia.

Więcej nawet, gdyż zwalcza zaciekle ową standaryzację na wszystkich odcinkach i we wszystkich przejawach. A któż zna lepiej zło i dobro miast i miasteczek amerykańskich, jak nie dziennikarz, którym był Sinclair Levis już od 1907 roku, t. j. od chwili ukończenia uniwersytetu w Yale.

Pisać zaczął jednak znacznie później, bo pierwsza jego książka p. t. „Our Mrs Wrenn” wyszła dopiero w roku 1914. Nie miała jednak większego powodzenia, również jak i następna, zatytułowana „The Trail of the Hawk”, a wydana w rok później.

Dopiero powieść „Main Street” (1920 r.) oraz sławny „Babbitt” (1922 rok) przyniosły ich autorowi pierwsze blaski sławy.

W „Main Street” Sinclair Levis wstępuje wyraźnie w okres walki z ciasnotą amerykańskiego życia, przedstawiając bezsens i nudę bytowania w małym miasteczku, wtłoczonym beznadziejnie w ramy przepisów i nieodpartych konieczności.

Nuda, według autora, jest najniebezpieczniejszym nastrojem w życiu, zarówno człowieka, jak i społeczeństwa.

„Babbitt” przerasta poprzedni utwór większym skomplikowaniem zagadnień i żywością akcji; bo oto człowiek, zagrzebany w codzienności przymusu, zaczyna protestować czynnie. Babbitt — szary człowiek, oddany jedynie i koniecznie businessowi, a otoczony poprawnością stosunków rodzinnych — wychodzi poza przepisane granice drobnymi nieporadnymi krokami i zdąża, kto wie, czy nie do bezsensu, ale w każdym razie do odmienienia, niż dotychczasowe, życia. Ze wszystkich dzieł Levis'a „Babbitt” jest bezwzględnie najdoskonalsze.

Zbliżonym poczęści do „Babbitt'a” jest utwór p. t. „Dodsworth” (1929 r.), przedstawiający psychikę amerykańszanina na tle stosunków europejskich. Znowu taka sama szarpanina człowieka, skrępowanego tysiącem uregulowanych i koniecznych spraw, tylko że mrs Dodsworth intelektualnie stoi znacznie wyżej od Babbitt'a i tem samem jego wewnętrzne przeżycia są bogatsze.

Poza wyżej cytowanymi utworami na uwagę zasługują jeszcze „Elmer Gantry”, w którym autor wypowiada walkę zakamieniałości formuł i ignorancji protestanckiego kościoła, oraz „Arrowsmith” — rozprawiający się satyrycznie z zawodem lekarskim.

Satyra jednak nie jest właściwym wyrazem Sinclair Levis'a. Uprawia on raczej humor beztroski, zaprawiony subtelnym dowcipem i pogodą.

W dowcipie tym zamyka Sinclair Levis całe swoje moralizatorstwo, którem walczy o prawa dla życia duszy w państwie businessu i standaryzacji. Tem właśnie zbliża się do uczuciowości pisarzy europejskich i dlatego może jest u nas tak dobrze rozumiany i tak lubiany.

Z. M.

## Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

*Festival ku czci Fryderyka Chopina w uniwersytecie warszawskim.*

Festival szopenowski, urządzony staraniem Koła Polonistów w niedzielę d. 9 listopada, wypadł świetnie pod względem produkcji, a bardzo mizernie pod względem frekwencji. W olbrzymiej, należącej wyjęzionej auli panowała atmosfera niemal mroźna. Odstraszyła ona widać ciała profesorskie, które świeciło nieobecnością, z wyjątkiem rektora dr. Michałowicza, który krótkim przemówieniem otworzył festival, i prof. Ujejskiego, polonisty. Rzesze studenckie stawily się również mniej licznie, niż to bywa na tak zwanych „wieczorach autorskich”, kiedy kilku młodocianych poetów prezentuje plody swego natchnienia tłumom kolegów. Czyżby Chopin nie zasługiwał na równie zainteresowanie? A może dzisiejsza młodzież studencka jest tak mało muzykalna? Garstka melomanów i paru recenzentów reprezentowało t. zw. publiczność.

Właściwą część koncertową poprzedził odczyt Karola Szymanowskiego o Chopinie, w którym przedstawiciel nawskroś nowoczesnej muzyki polskiej składał hold mistrzowi tonów, charakteryzując jego indywidualność twórczą.

Pani Stanisława Korwin-Szymanowska z właściwą sobie subtelnością wyrazu i kulturą muzyczną odśpiewała szereg pieśni Chopina, z tych niektóre w nieznanym dotychczas szerszej publiczności układzie, przy akompaniamencie Feliksa Szymanowskiego. Wreszcie znakomity szopenista p. Turczyński z piętyzmem odegrał wiązanek nokturnów, preludjów i polonezów, wydobywając z arcydzieł ich nieśmiertelne wartości muzyczne.

Świętni wykonawcy bohatersko walczyli z fatalną akustyką auli, hojnie darząc nielicznych słuchaczy prawdziwymi perłami natchnienia.

S. P. O.

*Otwarcie Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie. — Uroczysty koncert w Filharmonji.*

W roku 1850 zamknięto w Warszawie, w związku z wypadkami powstania listopadowego, Szkołę Główną Muzyczną, która w tym czasie rozwijała się najlepiej i promieniowała na życie kulturalne Warszawy.

W setną rocznicę zamknięcia placówki, w której koncentrował się muzyczny świat Polski, otwarto Wyższą Szkołę Muzyczną, raczej podzielono Konserwatorium warszawskie na Szkołę Wyższą, z rektorem Karolem Szymanowskim na czele, na szkołę średnią pod kierownictwem dyrektora Eugenjusza Morawskiego, i seminarjum muzyczne dla nauczycieli, pod kierunkiem prof. Stanisława Kazury.

Po przeprowadzeniu tej bardzo ważnej reformy w szkolnictwie muzycznym, dokonano aktu otwarcia Szkoły Wyższej, w sali konserwatorium, przybranej odświętnie, w obecności Prezydenta Rzeczypospolitej, przedstawicieli Rządu i świata naukowego, poczem wieczorem uroczystość tę zakończono koncertem w Filharmonji. Program koncertu był polski, współczesny; wypełniły go najlepsze produkcje, na które stać współczesną twórczość koncertową.

Z myślą o tym właśnie koncercie napisał Karol Szymanowski „Veni Creator” — kompozycję na chór, orkiestrę i solo sopranowe, do słów hymnu Wyspiańskiego. Potężne brzmienie tego utworu wywarło głębokie wrażenie. Wyjątki z baletu Szymanowskiego „Harnasie”, o oryginalnem i pełnem prostoty ujęciu góralskiego folkloru, wykonała z przejęciem orkiestra Filharmonji. Poza tem J. Turczyński odegrał koncert fortepianowy Różyckiego a Zbigniew Drzewiecki — Fantazję Paderewskiego. Zakończeniem koncertu była II symfonia K. Sikorskiego, bardzo utalentowanego młodego kompozytora.

Publiczność, wypełniająca po brzegi salę Filharmonji, dażyła wszystkich wykonawców i orkiestrę Filharmonji pod dyktando Grzegorza Fitelberga frenetycznymi oklaskami.

P. L.





## Z TEATRÓW

### TEATR NOWY.

„Nowa umowa małżeńska” — komedia w 3 aktach G. B. Shaw.  
Przekład F. Sobieniewskiego. Reżyserja Ireny Solskiej. Dekoracje W. Drabika.

„Nowa umowa małżeńska” jest bezspornie jedną z najbardziej interesujących sztuk ultranowoczesnych, chociaż powstała... dwadzieścia lat temu. Dodajmy, że to jest typowa sztuka „gadana”, w której prawie nie się nie dzieje, ale porusza się i rozstrzyga kompleks najistotniejszych zagadnień życia ludzkiego, co zresztą z punktu widzenia sądu artystycznego należy do okoliczności raczej obciążających.

Apologia małżeństwa! Czyż może istnieć temat bardziej doktrynerski i oklepany? A jednak genialny dialektyk Shaw umiał z niego uczynić magnes, przykuwający w ciągu trzech godzin bez przerwy uwagę, zainteresowanie i ciekawość widza. Ten niebawomy sukces osiąga nie rozwojem akcji, która jest niska, jak pajęczyna, nie konstrukcją dramatyczną, która chwilami mocno szwankuje, ale sposobem, w jaki cały problemat został postawiony pod znakiem zapytania.

Niewątpliwie małżeństwo jest instytucją, często bardzo niewygodną, w jej ramach nie mogą pomieścić się indywidualności bujne, bogate, nie uznające osobistego przymusu, albo uczuciowo rozproszone. Na podstawie własnych, już to przeżyć, już to przewidywań poddają rewizji starą, pozornie spróchniałą rudę tradycji i obyczajów, która naprzekór licznym burzycielom uparcie trzyma się na podminowanych fundamentach.

Otóż tę rewizję Shaw bardzo dowcipnie i chytrze, choć całkiem prostymi, niemal szkolnymi środkami doprowadza do absurdu. U wylotu dyskusji, jak u wylotu tunelu, czuwa semafor, kierujący pociąg na właściwy tor. Okazuje się, że małżeństwo wprawdzie nie jest instytucją rozkoszną, ale zato niezastąpioną, a ponieważ „jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma” — nie pozostaje nic innego, jak pogodzić się z malum necessarium, skoro nie lepszego wymyślić nie możemy.

Na podstawie powyższego, miałoby się prawo przypuszczać, że sztuka Shaw'a należy do rzędu typowych „pièces à thèse”. Tymczasem tak nie jest, bo Shaw, wbrew ustalonej w takich wypadkach metodzie, za punkt wyjścia wziął nie idee, ale żywych ludzi — żywych w każdym calu; im kazał zmagać się, walczyć, cierpieć, buntować się i wyrzekać, targać więzy, lub pokornie dźwigać jarzmo małżeńskie. Rozgrywa się przed nami partja żywych szachów, gdzie ruchliwy skoczek Shawowskiej dialektyki co chwila zadaje nieobliczalne „szach królów!” i kończy dyskretnym, lecz absolutnym matem.

Jest w tej sztuce Shaw'a jedna rzecz niesłychanie ciekawa, na którą, jeśli się nie mylę, nikt oprócz Boy'a nie zwrócił uwagi. Oto obok krytyki i apologii małżeństwa przemyciona jest gloryfikacja pierwiastka kobiecości. Nie kto inny, jak właśnie kobieta, jest motorem i źródłem tych wszystkich wątpliwości, buntów, rewizyj i reform. Ona jest rewolucjonistką; mężczyzna jest konserwatystą, jeśli chodzi o instytucję małżeństwa. To ona właśnie, wieczna kobieta, w osobie Lesbji pragnie być matką, nie będąc żoną, a skoro prawidła towarzyskie sfery, w której żyje, na to nie pozwalają, przekłada staropanieństwo nad skrupowanie własnej indywidualności; — ona to, jako Leontyna, chciałaby mieć dwóch mężów, bo jednego ona potrzebuje, a drugi bez niej się nie może obejść; — ona to wreszcie, jako pani George, bliska źródeł elementarnych żywiołów wizjonerka i grande amoureuse, skupia w sobie nieznane mężczyznom siły kosmiczne, które w średniowieczu zaprowadziłyby ją na stos, a w wieku cywilizacji, tolerancji i niewiedzy doprowadzają ją jedynie do wybuchów orgjastycznego mistycyzmu w formie kateptycznych wizyj, lub listów miłosnych do... anglikańskiego biskupa.

Przez usta owego biskupa-mędrca, który dla całkowitego zwycięstwa prawdy nie waha się dać szatanowi równych praw, bo wtedy tylko szatan przegrywa — mówi sam Shaw.

Jako dobrotliwego sceptyka, wierzącego jednak mocno w wartość człowieka, ujął go Brydziński. Żywym i naturalnym aż do przesady był Bay-Rydzewski w roli starego generała. Dułębiana dała małe arcydzieło finezyjnej groteski w postaci Lesbji, Ola Leszczyńska była rozkosznie niezdęcydowaną rozwódką, Osterwa może zbyt brawurowo i manierycznie potraktował snobizm Hatchkissa.

Wogóle obsada sztuki i reżyserja Solskiej jest pierwszorzędną. Drobne rozmiary teatru Nowego i brak proscenium ułatwiają intymne obcowanie sceny z widownią. Widz ma wrażenie, że nie jest świadkiem, ale uczestnikiem dyskusji, że bierze czynny udział w świetnej szermierce słów i idei. Stąd płynie to wychowawcze znaczenie sztuk Shaw'a, które są zawsze czemś pośrednim między widowiskiem, a wieczorem dyskusyjnym.

S. P. O.

## Z ŻYCIA EKRANU

(Filmy teatralne: „talkie”, operetka, rewja).

W jednym z większych kin warszawskich zaszedł fakt, dotychczas nienotowany: publiczność, zirytowana filmem, naszpikowanym dżalogami, wypowiedzianymi, w dodatku, w niezrozumiałym języku — gromadnie opuściła salę, żądając w kasie zwrotu pieniędzy, na co dyrekcja kina, widocznie w poczuciu winy, natychmiast się zgodziła. Takie ustosunkowanie się publiczności do amerykańskiego „gadacza” („talkie”) było poprostu zbiorowym odruchem rozsądku. Albowiem śmieszną rzeczą jest, ażeby widz, mogący w miejscowych teatrach oglądać, w pierwszorzędnym wykonaniu, najlepsze sztuki klasyczne i współczesne, swoje i obce — znajdował w kinie, zamiast filmu, reprodukcję kiepskiego melodramatu, przeznaczonego dla widzów o zupełnie prymitywnej kulturze teatralnej.

Jednakże sprawa „talkiesów” nie jest tylko sprawą artystyczną, lecz również — ekonomiczną, i olbrzymi warsztat, zmontowany i przystosowany do produkcji dźwiękowej, nie może tak nagle przejść znów na produkcję niemą. To też amerykańskie szukają innych sposobów „umiędzynarodowienia” swego „talkiesa”: nie mogą pozbawić go zupełnie charakteru teatralnego, starają się nadać mu przynajmniej taką formę, która przedej może liczyć na powodzenie na obcych rynkach: tworzą filmowe operetki i rewje.

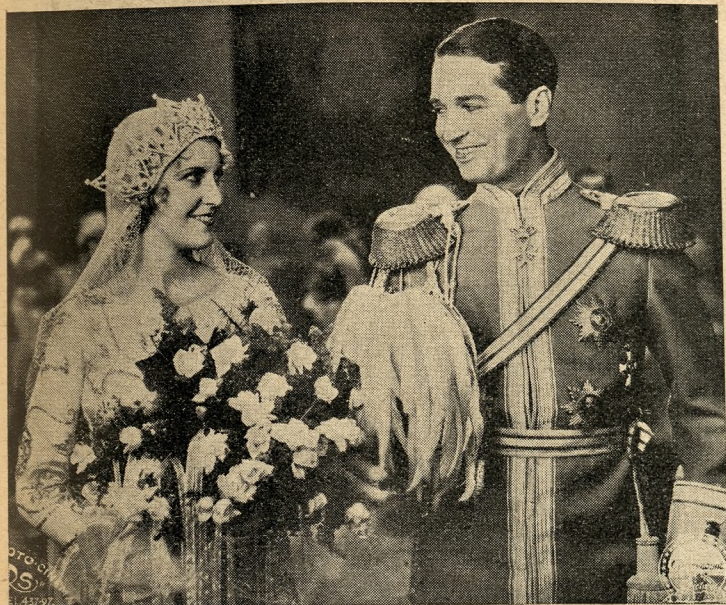
Ale i tu okazuje się, że miarą wartości takiego filmu jest nie melodyjność muzyki (jak w operetce teatralnej), ani bogactwo wystawy (jak w prawdziwej rewji), lecz — talent reżysera, który powinien tworzyć obraz przedewszystkiem z elementów filmu niemego. To też jedynym sukcesem na polu operetki filmowej jest „Parada miłości” w znakomitej reżyserji Ernesta Lubitscha, twórcy najlepszych amerykańskich komedij ekranowych.

Lubitsch jest mistrzem filmowego dowcipu: umie on w sposób niezmiernie zręczny i swobodny wiązać ze sobą poszczególne sceny, znajdując w nich zawsze pointę, którą potrafi podkreślić środkami czysto kinowymi. W „Paradzie miłości”, pomimo ograniczeń, narzuconych przez mikrofon (ograniczona przestrzeń akcji), Lubitsch wydobywa z ekranu dużo efektów wzrokowych, nie gardząc zresztą i słuchowymi (pożegnanie Parryża przez pana, służącego i... psa).

Maurice Chevalier, tutaj, pod kierunkiem Lubitscha, prezentuje w całej okazałości swój niezrównany wdzięk i zalety nie tylko pieśniarza, lecz również i aktora filmowego.

Ale nawet i w tym filmie, jednym z najlepszych „mówionych”, dżalogi mogłyby być śmiało zastąpione napisami (bez





Maurice Chevalier i Jeanne Mac Donald  
w filmie „Parada miłości”.

których i tak się nie obeszło), pomimo to, że techniczny postęp jest niezaprzeczony: głosy brzmią wcale nieźle i aktorzy mówią bardzo wyraźnie. Jednak rytm dialogu nigdy nie da się skoordynować z rytmem ruchowym filmu, stąd nawet najkrótsze dialogi robią wrażenie zatoru, który hamuje swobodny, płynny rozwój akcji ruchowej. W europejskiej produkcji najlepszą operetką filmową jest „Walc miłości” (berlińskiej wytwórni „Ufa”), film wdzięczny muzycznie i wzrokowo, chociaż ani w komizmie sytuacji, ani w dowcipie nie dorównywa filmowi Lubitscha.

Amerykańskie rewje filmowe zawiadły na całej linii. To, co na Broadway'u niewątpliwie wzbudzało zachwyt, przeniesione na ekran i — w postaci „konserw” optyczno-dźwiękowych — rozesełane po świecie, okazało się śmiertelnie nudne. Wiecznie te same „girls”, murzyńskie piosenki, muzykalni clowni i dowcipy amerykańskich komików, obce nam z ducha i języka, nie mogły długo bawić europejskiego widza. Trzeba było dla niego wymyślić nową atrakcję. Rola tę spełniają wkładki, wykonywane przez francuskich, niemieckich i włoskich artystów, niby jedna narodowa potrawa w amerykańskim „menu”, ciężkostrawną dla francuza, Niemca czy Włocha. O polskie podniebienie, nawykłe do obcej kuchni, jakoś nikt nie dbał. Inicjatywę w przeprowadzeniu zmiany podjęła dopiero dyrektorka jednego z naszych biur kinematograficznych („Petef”), pani Łabędziowa (uwaga! — kobieta!!), której, po wielu trudnościach, udało się przekonać dyrekcję jednej z największych wytwórni europejskich (British International Pictures w Londynie), że, o ile chce mieć na swą produkcję zbyt w Polsce, musi dawać również *wkładki polskie*, tak, jak dla Francji daje francuskie i t. d.

Dzięki dyrektorze „Petefu”, do angielskiej rewji zaangażowano Jarosy'ego, ażeby po polsku prowadził konferansjerkę, która, notabene, stała się główną ozdobą widowiska. Znany nam tak dobrze, subtelny dowcip i kultura intelektualna Jarosy'ego sprawiły, że powierzono mu konferansjerkę do tej samej rewji w pięciu językach. To był początek. Amerykanie, w obawie, że zostaną zdystansowani, zaczęli też zabiegać o łaski polskiej publiczności, nakręcając w swych europejskich filjach w Paryżu, filmy i rewje filmowe, między innymi, również *w wersjach polskich*, z udziałem polskich artystów.

O tem, jak te różnojęzyczne wersje wpływają na wartość artystyczną filmów, pomówimy innym razem. Dziś zajmujemy się rewjami. A więc łatwo się domyślić, że ekran nic im nie do-

daje, a raczej ujmuje: na ekranie tracą przede wszystkim barwę (kolorowe obrazy ciągle jeszcze dalekie są od doskonałości) i stają się dla oka tem więcej nużące. Dotychczas z pośród kilku takich rewji tylko jeden jedyny numer pomyślany był tak, że właśnie kino wyposażyło go w ciekawe i nowe efekty: był to numer „deszczowy” w „Rewji Hollywoodu”, pierwszej z rewji polsko-amerykańskich, w której wkładki polskie były, niestety, najsłabsze, zarówno pod względem wzrokowym, jak słuchowym.

Ordonka jest wysoce niefoto- i niefonogeniczna, a cały jej wysokiej klasy kunszt pieśniarski i taneczny na ekranie przepadł. Hanusz, jako konferansjer — banalny, wzrokowo — nieprzyjemny. Na pociechę mamy tylko to, że amerykańskie numery nie były lepsze.

Angielsko-polska rewja („Hallo! Tu mówi Jarosy...”) jest o tyle ciekawsza, że Jarosy z niezwykłym talentem umiał się przystosować do swej nowej roli „gwiazdora” i w sposób niezmiernie dowcipny, ze swobodą i wdziękiem, podkreślić warunki nowego bytowania, jakie mu stwarza ekranowa rzeczywistość.

Tak, czy inaczej, wszystko to jest jednak głównie teatrem, i widz, lubiący kino dla walorów kinetycznych, czuje się, w mniejszym lub większym stopniu, poszkodowany. Zwolennicy filmu dźwiękowego i mówionego wysuwają, jako najsilniejszy argument, fakt, że wynalazek ten udostępnił dobre przedstawienia teatralne najszerszym masom, docierając nawet do najbardziej zapadłych prowincjonalnych kątów. Racja! Ale ten sam wynalazek zabija kino, „stuprocentowe” kino! Więc, jak wybrnąć z trudnego zadania?

Widzę tylko jeden sposób. Film zostawić jego własnym prawom rozwoju, przyczem dźwięk traktować, jako element pomocniczy. Natomiast teatr (dramat, komedję, rewję, operetkę itp.) reprodukować przy pomocy kina dźwiękowego — tak, jak dotychczas reprodukowało się muzykę przy pomocy płyt gramofonowych — dla tych, którzy tego rodzaju widowisk są pozbawieni. Tylko taki podział na „film czysty” i „film stosowany” uratuje nas przed czemś, co jest, jako kino i jako teatr, w równym stopniu niedoskonałe.

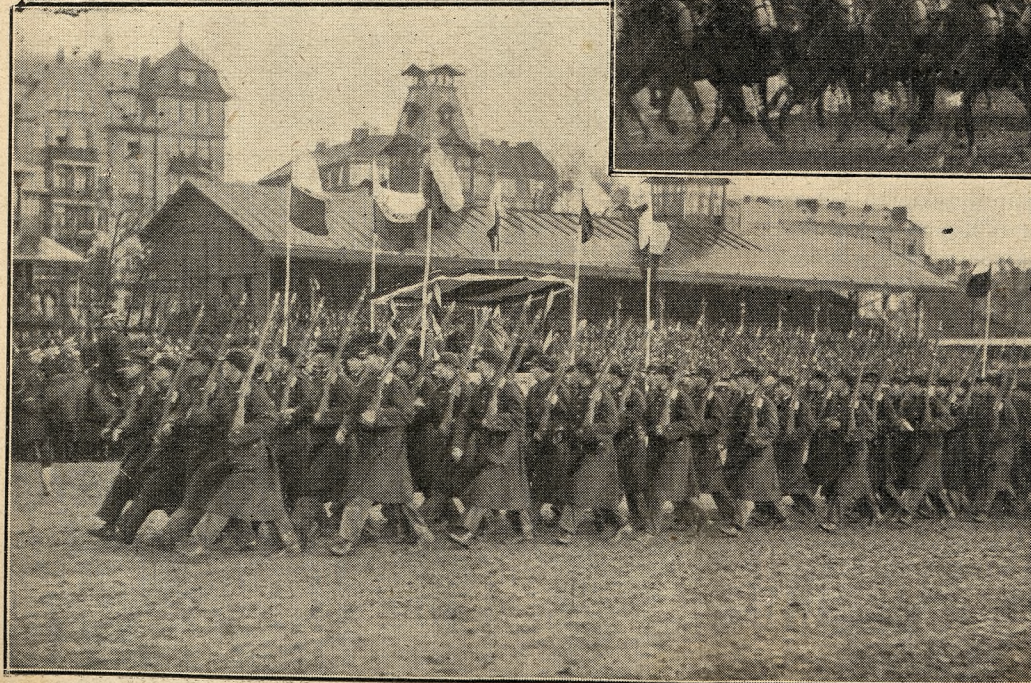
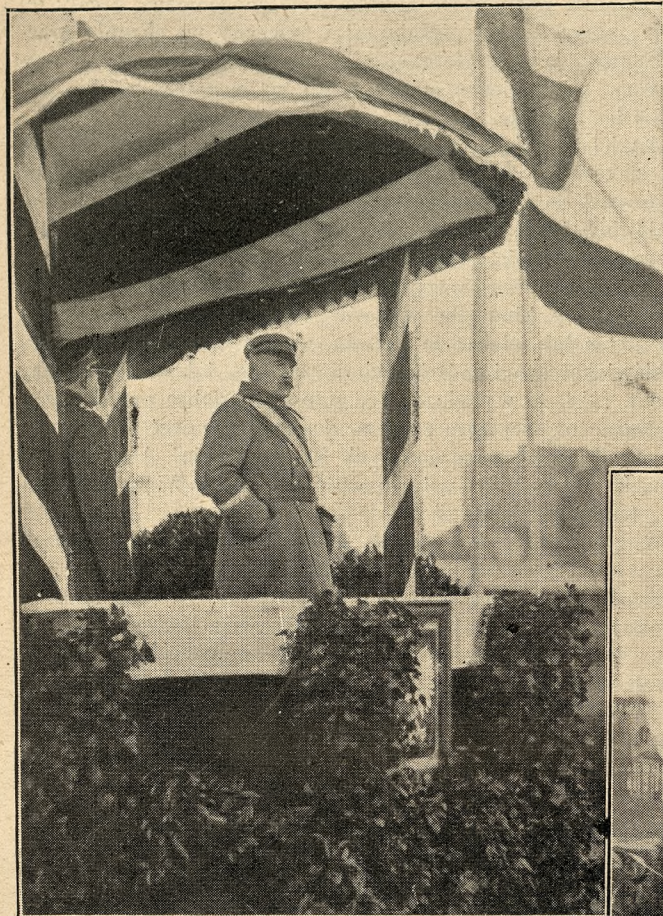
Stef. H.



Willy Fritsche i Liljan Harvey w filmie „Walc miłości”.



## FRAGMENTY REWJI W DNIU 11 LISTOPADA



Z okazji podwójnej rocznicy, odzyskania niepodległości w dn. 11 listopada i połączonego z nią obchodu dziesięciolecia zawarcia pokoju po zwycięskiej walce z Sowieci, odbył się wielki przegląd wojsk na polu Mokotowskim. Na rycinie na lewo u góry widzimy Marszałka Piłsudskiego, obok poniżej przepiękną defiladę ulanów, u dołu przysposobienie wojskowe. Nad rewją unosi się wysoko klucz samolotów.



## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

## KOBIETA POLSKA JEST ZDUMIEWAJĄCYM TYPEM



Marszałkówna Aleksandra Piłsudska.

## MARSZAŁKOWA ALEKSANDRA PIŁSUDSKA.

Za zasługi w pracach nad odzyskaniem niepodległości, Pan Prezydent Rzeczypospolitej nadał Marszałkowej Aleksandrze Piłsudskiej Krzyż Niepodległości z Mieczami i Krzyż Komandorski z gwiazdą Polonia Restituta.

Małżonka posła szwedzkiego pani Anckarswärd podczas swego pobytu w Sztokholmie, w lipcu, udzieliła współpracownikowi pisma kobiecego „Svenska Damtidningen” wywiadu o Polsce. Poniżej zamieszczamy udzielony nam łaskawie fragment tego interview, dotyczący kobiet polskich.

„Kobieta polska — mówi pani ministrowa Anckarswärd — jest zdumiewającym typem, różniącym się od kobiety szwedzkiej tem, że jest mniej współczesna, że zachowała więcej dawnego ideału kobiety, matki i żony. Może właśnie dlatego, w żadnym kraju kobiety nie grają tak wielkiej roli, jak w Polsce. Polka nie uchyla się od macierzyństwa, 10 — 12 dzieci nie jest rzadkością w rodzinach polskich, nawet arystokratycznych. Matka znajduje jednakże czas na wychowanie dzieci, kierowanie domem, nawet na branie udziału w trudnym zadaniu zarządzania wielkim majątkiem. Polka jest silna, wierna swym obowiązkom i jest gorącą patriotką. Doskonałą przedstawicielką najcharakterystyczniejszych zalet kobiety polskiej jest małżonka Marszałka Piłsudskiego, która poza swymi dziećmi, domem i wielkimi obowiązkami reprezentacyjnymi, poświęca wiele czasu pracy społecznej, organizując schroniska dla dzieci i rozliczne instytucje.

W sprawie innych, ogólnych zainteresowań kobiet polskich, mogę powiedzieć, że mają one wybitne zamiłowanie do muzyki i literatury. Polska wydała wielkich kompozytorów i posiada bogatą, świetną literaturę. Przy zwiedzaniu Warszawy uderza nas ogromna ilość bibliotek prywatnych, w których prawdziwe skarby są dostępne każdemu, chcącemu z nimi się zapoznać.”

## NAGRODZONE.

Cały szereg kobiet, pracujących na różnych polach działalności kulturalnej i oświatowej, otrzymał w dn. 11 listopada następujące odznaczenia: Krzyż Komandorski z gwiazdą Polonia Restituta, Janina Umiastowska — rolniczka. Krzyż oficerski Polonia Restituta: Honorata Leszczyńska, Róża Łubieńska, Zofja Moraczewska, Zofja Nałkowska-Gorzechowska, Marja Weryho-Radziwillowiczowa, Irena Solska, Zofja Stryjeńska, Z. Tarnowska z Dzikowa. Krzyż Kawalerski Polonia Restituta: Emilja Biedrawina z Działdowa, Helena Ceysingerówna, dr. C. Klawtenowa ze Lwowa, M. Moszczeńska (pow. Węgrzecki), E. Parczewska z Belna, Teresa Sapieżyna, organizatorka „Latarni” dla ociemniałych inwalidów, H. Sztajnbargowa z Torunia, Helena Trzcńska z Piotrkowa, Róża Tyszkiewiczowa.



Honorata Leszczyńska.



Zofja Nałkowska.



Irena Solska.





Pomnik poległych legionistów.

#### RYCERZE WOLNOŚCI.

W tych dniach na Wybrzeżu Kościuszkowskim odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika legionistów Korpusu Wschodniego, poległych w walkach o niepodległość.

#### NA DALEKIEJ ZIEMI.

Z topniejącej z dnia na dzień garstki weteranów powstania styczniowego nie wszyscy doczekali szczęścia powrotu do Polski. Przed kilku tygodniami zmarła w Charbinie, w 94 roku życia, ś. p. Wincentyna Witkowska, sanitariuszka i kurjerka z 1863 r. Skazana na Syberję, po ciężkich kolejach losu wygnanego, osiadła przy synu w Charbinie, gdzie, mimo podeszłego wieku, brała czynny udział w życiu i pracach kolonii polskiej. Cześć jej zacnej pamięci.

#### IRLANDJA ROZSTRZYGNĘŁA SPRAWĘ BYTU DZIECI NIESŁUBNYCH.

Bardzo charakterystyczne prawo uchwalono świeżo w Irlandji. Dotyczy ono ojców dzieci niesłubnych. Każdy ojciec niesłubnego dziecka zmuszony będzie zapłacić jednorazowo 5 funtów szterlingów, jako koszt przyjścia na świat dziecka, kuracji matki i pierwszych potrzeb noworodka. Później, aż do chwili, gdy dziecko skończy lat 16, ojciec obowiązany jest płacić 1 funt tygodniowo. Pozatem ojciec opłacać będzie naukę zawodową

dziecka, a jeśli ono, nawet mając lat 16 skończonych, nie może znaleźć pracy, ma prawo otrzymywać nadal cotygodniowy zasiłek od ojca. Wszystkie te sumy, w razie odmowy ich płacenia, ściągane będą z pensji i zarobków ojca.

#### KROK NAPRZÓD.

Jednocześnie prawie z wielkim Zjazdem w Warszawie, odbywał się w Antwerpii międzynarodowy Kongres Policji Kryminalnej, na którym omawiana była również walka z prostytucją i handlarzami żywym towarem. Naczelnik centrali służby śledczej w Polsce, dr. Nagler, przedstawił Kongresowi wyniki pracy policji kobiecej w Polsce, poczem podał wniosek, aby wszystkie państwa utworzyły u siebie kobiecą służbę policyjną, która współpracowałaby z instytucjami państwowymi i społecznymi w zwalczaniu handlarzy.

Dla opracowania wniosków wyłoniono specjalną komisję, pod przewodnictwem dr. Naglera. Postanowiono, że władze policyjne poczynią u swych rządów starania, celem zorganizowania jednolitej walki z handlem żywym towarem, opartej na jednolitych sankcjach karnych (dotychczas w poszczególnych państwach kary się różnią, a w niektórych są śmiesznie niskie) i zniesienia domów publicznych.

Opracowano następnie szereg wniosków, dotyczących środków prewencyjnych. Znałe są mianowicie niektóre agencje emigracyjne, pod tym płaszczykiem szukające ofiar na dworcach, w portach i t. p.; również agencje jakoby teatralne, music hallowe, filmowe (te zwłaszcza), taneczne i Bóg wie, jakie; nad wszystkimi takimi przedsiębiorstwami powinna być ścisła kontrola.

Dr. Nagler zaprojektował ponadto, aby wyjeżdżające za granicę młode kobiety, zaangażowane do różnych przedsiębiorstw tego typu, miały zapewnioną kaucję, by na wypadek rozwiązania umowy, nie pozostały w obcym kraju bez środków do życia. Dalej uchwalono nadzór nad ogłoszeniami pewnego typu i ustanowienie międzynarodowej policyjnej centrali do walki z handlem żywym towarem.

Wszystkie wnioski komisji Kongres uchwalił jednomyślnie. Jest to ważny krok naprzód w sprawie zwalczania tego potwornego przemysłu i zapewnienia kobietom pewnego bezpieczeństwa, doniosłe jest zwłaszcza ujednolajnienie kar, dotychczas bowiem członkowie band handlarskich wymykali się niejednokrotnie sprawiedliwości, na podstawie odrębnych ustaw poszczególnych krajów.

#### Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

W niedzielę przeżyliśmy dzień wyborów do Sejmu. Zarówno w stolicy, jak i w całym kraju odbyły się one w spokoju i powadze. Poraz pierwszy, od czasu odrodzenia, głosowanie wykazało, że istnieje w Polsce tak zdecydowana opinia większości.

Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem uzyskał 248 mandatów. Z innych stronnictw polskich, blokowi lewicy i Piasta przypada 79 posłów, Narodowej Demokracji 62, Blokowi Katolicko-ludowemu 14. Reszta mandatów wychodzi z list mniejszości narodowych.

Z Komitetu Wyborczego Organizacji Kobietych wchodzi do Sejmu posłanki: Marja Bałabanówna, Halina Jaroszewiczowa (z 2 okręgów), Marja Jaworska, Kazimiera Marczyńska, Zofja Moraczewska, Eugenja Waśniewska i Ludwika Wolska. Ze stronnictwa Nar. demokr.: H. Grossmanówna, Elma Popławska i Zofja Zaleska. Zupełnie ścisłych danych co do poszczególnych mandatów podać dziś jeszcze nie można, gdyż nastąpią przesunięcia, z powodu wybrania niektórych posłów dwu i trzykrotnie, na ich miejsca więc wejdą inni z dalszych miejsc. Tym sposobem przybyć może jeszcze parę mandatów kobiecych.



## JESZCZE O TYTUŁOMANJI

Tytuły w niepodległej Polsce zostały zniesione. Ale tylko tytuły rodowe. Natomiast nigdy i nigdzie nie używało się chyba tylu najprzeróżniejszych tytułów: naukowych, wojskowych, służbowych, zawodowych, rzeczowych i urojonych i tyle się do nich nie przywiązywało wagi — co właśnie u nas.

Skrzynka do listów „Bluszczu” wciąż jest pełna rozżalonych epistoł od żon młodszych oficerów, protestujących przeciwko stosowanemu do nich tytułowi porucznikowych, a jeszcze bardziej przeciwko obowiązowi tytułowania generałowej — generałową. Żale te przeważnie są bardzo zabawne, gdyż młode pannie, odwołując się do demokratycznego ducha czasu, z którym to tytułowanie ma być niezgodne, wykazują zarazem zgola niedemokratyczną tytułów tych pożydlivość.

Zaznaczając, iż niesprawiedliwym jest, aby jedna z pań korzystała z tytułu wyższego, niż druga — choć się przecie obie w niczem do zdobycia rang mężowskich nie przyczyniły — nie mają racji. Karjera męża jest zawsze, w znacznej mierze, zasługą żony: jej umiejętności życia z ludźmi, taktu towarzyskiego, zdolności reprezentacyjnych, a nadewszystko — przedziwnego talentu usuwania się w cień, wtedy, kiedy tego zachodzi potrzeba.

Nie jeden porucznik porucznikuje niepomierne długo wskutek niewłaściwego zachowania i przykrego charakteru swej połowicy, której niefortunne odezwania, powtórzone pod należytym adresem, wywołują nieustanne tarcia, nieporozumienia i obrazy.

A jeżeli ktoś wyjdzie od razu za gotowego generała?! No, to też sztuka nielada. Generał — to na rynku małżeńskim zwierzyzna gruba i do podejścia trudna; za tyle zręczności i sprytu należy się młodej pani tytuł generałowej, wymawiany wyraźnie i z wielkiem uszanowaniem.

Tylko, rzecz oczywista, szlify porucznika, a nawet podoficera, zdobyte przez kobietę własną krwią w obronie Niepodległości, zawsze będą dla niej stokrót zaszczytniejsze, niż najwyższa ranga mężowska.

O tej, tak oczywistej prawdzie zapominają zacietrzewione korespondentki „Bluszczu”. O tem, że o roli, jaka komu w danej społeczności przypada, decyduje nie tytuł, a indywidualność jednostki.

Porucznikowa, skarżąc się na to, że nie może się zdobyć na niezależność sądu wobec osoby, którą musi tytułować „panią generałową”, nie zdobędzie się również na odwagę własnego zdania i wobec żony zwierzcznika, do którejby mówiła tylko: „pani Marjo”.

W towarzystwie rosyjskiem do wszystkich mówiło się „po imieniu i otczestwu”, co jednak nie przeszkadzało generałowej, zwanej poprostu „Anną Pietrowną”, trząść całym garnizonem niegorzej od austriackiej „ekscelencji”.

Chyba... chyba, że znalazła się w rodzinie wojskowej jakaś porucznikowa, czy kapitanowa dość sprytna, aby opanować generałową i ująć ster garnizonowego życia w swe mocne, choć aksamitne łapki. No, ale to się przecie i u nas zdarza. Przywiązywanie przesadnej wagi do rang, tytułów i stopni naukowych, oraz szczegółowe wymienianie ich na biletach wizytowych, jest u nas pamiątkową pozostałością zaboru austriackiego, pielęgnowaną z pietyzmem, godnym lepszej sprawy. W Rosji wymieniano tylko rangi woj-

skowe i wyłącznie w stosunkach służbowych. Tytułowanie kogoś według rangi w życiu towarzyskiem uchodziło za szczyt złego tonu; a już nikomu nie przyszłoby na myśl, zwracając się do kobiety, tytułować ją według rangi, zajęcia, czy stopnia naukowego jej męża.

Nigdy nie zapomnę mego dziecinnego oburzenia, kiedy usłyszałam, jak jakiś pan, przyjezdny z Galicji, nazwał moją matkę „panią inżynierową”. Byłam tak zgorzonna, że pobiegłam do ojca zapytać, czemu nie wyprosi za drzwi tego jegomościa, który „śmie wymyślać mamusi od zajęcia tatusia”. Pamiętam również, ile śmiechu wywołała w salonie moich rodziców sążnista karta wizytowa jakiejś damy, poznanej podczas wakacyj w uzdrowisku. Głosiła ona:

„Frau ingénieur Kitty von Bornheim geborene Baronesse von Rosenberg”.

Zaznaczyć należy, że użyty tu tytuł inżyniera przysługiwał mężowi owej damy, nie zaś jej samej.

Paniom rosyjskim, prócz tytułów rodowych, przysługiwał jedyny tytuł „priewoschoditielstwa” (ekscelencji), związany z należną mężowi rangą generała lub jej cywilnym odpowiednikiem. Zresztą i tego tytułu używali jedynie podwładni i służba, zwracając się do swych zwierzchników i chlebobawców. Wiele wesołości budziła anegdota o pewnej, świeżo upieczonej generałowej, pochodzącej z kupieckiej sfery, która, nie mogąc się dość nacieszyć świeżo otrzymanym tytułem, mówiła do lokaja:

— Iwanie, podacie herbatę: jego ekscelencji do gabinetu, a mojej ekscelencji — w buduarze.

Każdego, kto kiedykolwiek zdobył się na cierpliwość przeczytania drukowanej w „Kurjerze” listy gospodyń jednego z wielkich balów warszawskich, musiała niewątpliwie zastanowić przedziwna, mozaikowa abrakadabra nazwisk i imion tych pań. Obok hrabiny Maciejowej Staropolskiej, figurują niezawodnie mecenasowa Kita Wypędkiewiczowa z córkami Beba i Lala, oraz baronowa Zuza Naftalingeruch z córką Jagienką. Mniejsza o pomieszanie sfer, bo każdy chyba rozumie, że, aby bal się udał, muszą agitować i karotować przedstawicielki wszystkich kół bawiącego się świata. Chodzi mi jedynie o cudaczne sformułowanie imion i nazwisk tych pań, które przecie figurują na liście gospodyń, wydrukowane zgodnie z wolą ich właścicieli.

Hrabina Maciejowa Staropolska jest niewątpliwie wspaniałą matroną, której nie powstydzilby się szereg błękitnokrwistych przodków po mieczu i kądzieli. Z niepojętych powodów, ta, bynajmniej przez męża nie zahukana, niewiasta, wyrzeka się w życiu publicznym nie tylko swego rodowego nazwiska, ale i chrzestnego imienia. Maciejowa — to brzmi ogromnie patryjarchalnie i arystokratycznie; szkoda tylko, że na żonę karbowego pani hrabiny wołają także „Maciejowa” i nic na to nie można poradzić. Może to i niezbyt wskazane w naszych demokratycznych czasach chcieć odróżniać hrabinę od żony karbowego, ale, doprawdy, karta wizytowa, głosząca: „Halina z Herbickich Staropolska” wydaje mi się właściwszą, niż ta, z bezimienną i bezrodną „Maciejową”. Z mecenasową Kitą sprawa bardziej zawiła. Uroczą tą kobietą ma pięćdziesiątkę z okładem, peruczkę w złote loczki i wstawioną szczękę. Na chrzcie świętym dano jej imię Katarzyny, ale zawsze i wszędzie figuruje, jako Kita i koniecznie — mecenasowa. Nie wolno o tem zapomnieć, pod groźbą przymusu umieszczenia drukowa-



nego sprostowania w „Kurjerze“, co, jak wiadomo, jest i ambarasowne, i kosztowne.

Kita — to brzmi dystygnowanie i z angielska. Kita — to odmładza. Mecenasowa — to znowu wygląda, jak taktowne, lecz wyraźne zaznaczenie, że nie o byle kim mowa. Sama „Kita“, bez „mecenasowej“, wyglądałaby może cokolwiek podejrzanie, zwłaszcza w związku z przyprowadzoną czuprynką i podwójną porcją malowanych rumieńców.

Spieszczenia: Beba i Lala — mają magiczną właściwość odmładzania nie tylko podwładnych panien, ale i ich uporczywie i niezmordowanie czarującej matusi.

Katarzyna Wypędkiewiczowa z córkami: Barbarą i Aleksandrą — Mon Dieu! Jakby to brzmiało?... A fe! jak wulgarnie!

— Że co? Powiadacie państwo, że te wszystkie Kity, Beby i Lale — to ośmiesza kobiety, nie będące już podłotkami?

— Hmm, zapewne lepiejby było zostawić te zdrobniałe imionka na wyłączny i domowy użytek dla najbliższych; ale jeżeli ktoś nie ma wrodzonego poczucia humoru, to mu się go żadnym sposobem nie zaszczepli. Jedyną radą byłoby zabronić policyjnie publicznego używania zdrobniałych imion paniom, które przekroczyły czterdziestkę.

— A baronowa Naftalingeruch? — No, z tą, to krótka sprawa, bo jeżeli ktoś nosi starozakonne nazwisko, urojony czy kupiony tytuł i posiada grube dolary, to niema na świecie siły, któraby mu zdołała przeszkodzić nazywać córkę Jagienką, a syna Zbyskiem. Niech się tam sobie biedny Sienkiewicz turla w grobie... ze śmiechu.

A teraz zastanówmy się serjo nad tem, jak, i kiedy, i kogo tytułować należy, i jakie się powinno mieć bilety wizytowe. Zważywszy, że głupota i próżność ludzka jest bezmierna i że nikt z nas nie jest w tak szczęśliwym położeniu, aby się mógł od głupców absolutnie uniezależnić, tytułować należy każdego — jak mu się podoba i ile mu się podoba. Zwłaszcza w stosunkach urzędowych, w szczególności, jeżeli się ma do niego niecierpiący zwłoki interes. O ile na obliczu szanownego rozmówcy nie dostrzegamy przy każdym powtórzeniu należnego mu tytułu, wyrazu błędnego zadowolenia, możemy tytułowanie przeczcić i wkońcu go zaniechać. Mając do wyboru kilka tytułów, należy zawsze używać tego, który jest najzaszczytniejszy. Do podporucznika i podpułkownika należy mówić: „panie poruczniku“ i „panie pułkowniku“, puszczać niefortunny „pod“ w niepamięć. Grzeczni ludzie mówią „panie redaktorze“ do każdego dziennikarza. Do adwokata mówi się „panie mecenasie“, do doktora medycyny staroświecka uprzejmość każe mówić „panie konsyljarzu“. Zwyczaj galicyjski każe mówić „panie doktorze“ do każdego człowieka z wyższym wykształceniem. Pod żadnym jednak pozorem nie należy do kobiety, której przysługuje stopień doktora, mówić: „pani doktorowo“.

Kiedy się komuś przedstawia autentycznego księcia, lub mówi o nim do osoby trzeciej w jego towarzystwie, zawsze powinno się wymieniać tytuł, właśnie dlatego, że wszystkie przywileje, z nim związane, zostały zniesione. Nie należy tylko wzorować się na pewnej aktorce, która, onieśmielona obecnością jaśnie oświeconej osoby, wybąkała:

— Książę raczy mi wybaczyć, że nie będę do księcia ciągle mówiła: książę. Ale książę chyba rozu-

mie, że to bardzo krępujące tak ciągle do księcia mówić: książę.

Dodawanie do rodowego tytułu słowa „pan“ nadaje rozmowie charakter nieznosnego serwilizmu. Mówienie „panie hrabio“ lub „książę panie“ dobre jest dla oficjalistów. Natomiast takie zwroty, jak „mój hrabio“, albo „drogi książę“, będą niewątpliwie poczytane ludziom, mało znajomym, za chęć spoufalenia się i popisania przed otoczeniem bliskimi stosunkami z arystokracją. Tytuł „mistrza“ bywa dowolnie nadawany, w dowód wielkiego uznania, znakomitościom ze świata artystycznego i uczonego. Łączenie go ze słowem „pan“ wywołuje efekt humorystyczny. Słyszałam na własne uszy, jak pewna dama, wielce światowo obyta (w swoim pojęciu), mówiła do Juliana Fałata: „Panie mistrzu“. Staruszek uśmieł się do łez i niedługo potem umarł. Myślę, że to „Panie mistrzu“ tak mu zaszkodziło.

W obcowaniu towarzyskim ludzi z jednej sfery, najwłaściwsze i najzgodniejsze z duchem języka polskiego jest zwracanie się do siebie po imieniu, z dodatkiem „pan“ lub „pani“. Mówienie do kogoś po nazwisku, z dodatkiem „pan“ czy „pani“, nadaje rozmowie charakter oficjalny i oznacza chęć zachowania dystansu. Mówienie po nazwisku, bez „pan“ lub „pani“, dopuszczalne jest w stosunkach koleżeńskich, podobnie, jak zwrot na „wy“, zresztą sprzeczny z duchem naszego języka. Zwracanie się do kogoś per „panie szanowny“ świadczy o bardzo niskim poziomie towarzyskim; jeszcze gorsze być może tylko mówienie: — panie E, panie Ce... — Przymiotnik „czcigodny“ można stosować jedynie w rozmowie z ludźmi bardzo wiekowymi, ale i tu trzeba się dobrze zawczasu upewnić, że oni się nie obrażą. Wszystko na tym świecie jest względne, a już ze względnych najwzględniejsze są pojęcia starości i młodości.

A teraz — co do kart wizytowych. W stosunkach towarzyskich bezwzględnie najwłaściwsze są bilety z glansowanego bristolu, nie za duże i nie za małe, nieposzlakowane białe (zdarzało mi się, niestety, widywać i kolorowe!), na których drukowane fac simile pochylonego pisma obwieszcza imię i nazwisko właściciela. I więcej nic. Adres można, w razie potrzeby, dopisać napoczekaniu ołówkiem.

W stosunkach zawodowych konieczne są bilety z drukowanym adresem i numerem telefonu. Ponieważ w takich razach przesłanie komuś biletu wizytowego ma go zarazem poinformować o charakterze wizyty interesanta, powinno się drukować na biletach, na ten cel przeznaczonych, zawód, względnie stanowisko społeczne. Np.:

ADAM BUTNY

Dyrektor Domu Komisowego  
„Pol-Blag“

albo:

SERAFIN AKSAMITOWSKI

redaktor tygodnika  
„Życie Salonów“

albo też:

GABRIEL GOŁĘBICKI

Prezes Ligi Ludzi Dobrej Woli

Nie powinno się jednak przyswajać sobie tytułów, do których nie ma się prawa, bo to się zawsze wcześniej, czy później wykryje. Ani stwarzać fikcyj, jak np.: „Kamil Fantaziewicz, delegat“ — bo taki delegat, niewiedomo skąd i czego, może zaimponować



jedynie bardzo naiwnym jednostkom, a podnieca dobry humor wszystkich ludzi rozsądnych.

Kobiety, będące kimś lub czemś, niezależnie od stanowiska ojców, czy mężów, takie, które zdołały wyrobić sobie przed ślubem znane nazwisko zawodowe, jako lekarki, adwokatki, artystki, czy literatki, krawcowe, czy dentystki — nie powinny rezygnować z nazwisk swych po ślubie, pod groźbą utraty klienteli. Coraz częściej spotykamy kobiety pracujące, używające podwójnego nazwiska. Nie piszą się one nawet: Zofja z Mędrzeckich Golecka, tylko: Zofja Mędrzecka Golecka. W razie, gdyby panu Goleckiemu się zmarło, pani dr. Mędrzecka zachowa swe wyrobione nazwisko i wyrobioną praktykę. A wychodząc powtórnie za mąż, doczepi nazwisko drugiego męża, tam, gdzie dotychczas figurował świętej pamięci mąż pierwszy. Najgorzej jest, jeżeli kobieta stanie się jakkolwiek popularną pod nazwiskiem mężowskim — musi je zachować, choćby odtąd miała zmieniać mężów co roku. Bowiem kobiecie, mającej ustalone dochody, o nowego męża nietrudno. Ale wyrabiać sobie ponownie nazwisko — to ciężka i niewdzięczna praca.

*Jadwiga Kierwnarska.*



## SPORT PIESZY

Jesień!

Skończyły się już sporty letnie, a nie zaczęły jeszcze zimowe. Znaleźliśmy się w okresie przejściowym, kiedy mylnie sądzimy, że niema sportu, któryby teraz można uprawiać.

Bezczynność i bezruch jest zgubny dla naszego organizmu, gdyż, primo: pozostajemy bez treningu, secundo: nie uodparniamy organizmu przeciw zmiennej pogodzie i zbliżającym się chłodom. Na skutek tego ogarnia nas ociężałość, która również wpływa i na nastrój psychiczny. Dlatego też w jesieni tak często odczuwamy nieuzasadniony smutek, niezadowolenie lub nudę.

Należy raz skończyć z tym przesądem, jakoby jesień była nieodpowiednią porą dla sportów.

Najbardziej odpowiednim sportem w tej porze roku jest sport pieszy, który ma tyleż dodatnich walorów dla zdrowia, co każdy inny, a jedną z głównych jego zalet jest to, że jest dostępny dla każdego, bez względu na wiek i stan.

Sport ten, metodycznie używany, hartuje ciało, przyzwyczaja do zmian temperatury, wpływa na dobrą przemianę materji, pobudza do lepszego krwioobiegu, lepszego trawienia, lepszej wentylacji płuc, a prócz tego wpływa dodatnio na system nerwowy i psychiczny.

Szczególnie zalecamy go osobom, wiodącym życie siedzące w biurach, pracownikom umysłowym. Użyty w miarę, czyni człowieka zdrowym, rześkim, wzmacnia energję, humor i dodaje bodźca do wydajnej pracy.

Aby sport pieszy rzeczywiście mógł przynieść

korzyść naszemu organizmowi, musi być wykonywany racjonalnie i planowo. W pierwszym rzędzie trzeba zwrócić uwagę na strój, który winien być lekki, przewiewny, lecz ciepły. W dniach pogodnych, a chłodnych, wystarcza pullover i jesionka; w dnie dżdżyste wkładamy jeszcze płaszcz nieprzemakalny. Największą uwagę należy zwrócić na obuwie, które musi być ze skóry nieprzemakalnej, odpowiednio dopasowane do nogi, na niskich obcasach. Pończochy wełniane (względnie grubsze fildekosowe).

Technika spacerów polega na miarowym kroku oraz na regulacji oddechów. Co cztery kroki należy zrobić jeden oddech głęboki. Jakkolwiek takie oddychanie jest początkowo nużące, jednakże organizm bardzo szybko do tego się przyzwyczaja i wkrótce osiąga się doskonale wyniki.

Do ich sprawdzenia służą specjalne przyrządy, tak zw. „pedometry”. Zawieszone lub przypięte w okolicy serca, dają możność kontrolowania jego uderzeń i regulowania kroków.

Podczas przechadzki trzeba utrzymywać równe tempo, w razie zmęczenia odpoczywać stojąco przez parę minut, ale nie siadać na ławkach lub na ziemi.

Osoby, nie przyzwyczajone do codziennych przechadzek, powinny zacząć je od 20 min. i następnie powoli przedłużać aż do 2 — 3 godzin. Przechadzki nie należy odbywać po zakurzonych ulicach miasta, ale w parkach, ogrodach lub pobliskich okolicach zamieszkanych.

Tak metodycznie wykonane przechadzki dają doskonały trening oraz wyżej wspomniane korzyści dla zdrowia. Również wpływają dodatnio na samopoczucie i zadowolenie, a przytem usposabiają do dobrego humoru, który odgrywa ważną rolę w życiu codziennem dla nas i dla naszego otoczenia.

Znane są wypadki, gdzie osoby neurasteniczne, stale przedenerwowane, cierpiące na bezsenność, złe trawienie i brak humoru — w krótkim czasie usunęły te cierpienia, stosując jedynie i stale „codzienne przechadzki”, bez względu na pogodę, wyżej wspomnianym systemem.

*Dr. M. Kłosińska.*

## ZWIĄZEK PAŃ DOMU

Zjazd Pań Domu minął, ale nie minęły, a przeciwnie, nabrały wyrazistości te zagadnienia, które na Zjazd nas sprowadziły. Niema chyba ani jednej uczestniczki, któraby wyjechała z Warszawy niezorientowana w tem, jakie są cele i dążenia polskich gospodyń domu, i jaki nakreśliłyśmy sobie program pracy na przyszłość. Program ten, zawarty w uchwałach i postanowieniach zjazdowych, jest tak pełen wagi i znaczenia, postawiony tak wyraźnie i zdecydowanie, że z wielką radością musimy przyznać, iż posiadamy całą świadomość i zrozumienie naszych zadań. Wiemy, czego chcemy, co możemy i czego zdecydowałyśmy dokonać wspólnymi siłami.

A więc przede wszystkim postanowiłyśmy zjednoczyć nasze pojedyncze zdolności i siły do wspólnej pracy. Jednomyslnie i entuzjastycznie przyjęta uchwała utworzenia odrębnej organizacji polskich gospodyń domu, której dałyśmy nazwę „Związek Pań Domu”, stanowi punkt zwrotny w chwili obecnej.



Już teraz sprawy nasze będziemy miały możność rozważać pomiędzy sobą w bezpośrednim złączeniu w Związku i na tym terenie szukać i znajdować środki do praktycznego rozwiązania wielu zagadnień, w celu osiągnięcia jaknajwiększych korzyści dla naszych rodzin i ogólnego dobra.

Nasze prace pozjazdowe, zamiast osłabnąć i przyćmiewać, przeciwnie, nabierają niesłychanej żywotności i rozgłosu, dzięki dotarciu wiadomości o Zjeździe do wszystkich zakątków kraju i odczuciu oraz zainteresowaniu, z jakim odzywają się te z pań domu, które na Zjazd przybyć nie mogły.

Związek Pań Domu, którego trwale podstawy statutowe wypracuje dopiero wybrana na Zjeździe Komisja Organizacyjna, już teraz zespala siły kobiece w różnych punktach Rzeczypospolitej.

Aby wszystkie powyższe w tym kierunku prace i zamiary szły po linii, którą sobie nakreśliłyśmy na Zjeździe, pozwolę sobie przypomnieć najważniejsze postanowienia w tym względzie.

1. Tworzy się jednolitą i odrębną organizację o nazwie „Związek Pań Domu”. Jednolitość ta wyrażać się będzie w jednej nazwie i rządzeniu się na podstawie jednego statutu. Nazwa jednakowa utrzymana będzie dla każdej jednostki organizacyjnej, to znaczy, że najmniejsze grono pań domu, złączone w jakiegokolwiek miejscowości i zgłaszające swą przynależność do Związku, otrzyma nazwę „Związek Pań Domu” z dodaniem: „Oddział w X”. Zaś odrębność naszej organizacji — polegająca na odsunięciu spraw gospodarstwa domowego, jako ważnych prac zawodowych, od wszelkich innych spraw — jest właśnie tą siłą przyciągającą dla kobiet, których powołaniem i zawodem całego życia jest kierowanie domem i rodziną.

2. Związek Pań Domu postawił sobie, jako wytyczne do opracowania statutu, następujące najważniejsze cele i zadania:

a) podniesienie poziomu życia rodzinnego, co rozumiemy, jako podniesienie zdrowia moralnego i fizycznego oraz dobrobytu;

b) ulepszanie metod pracy domowej;

c) uświadomienie gospodarcze kobiet i

d) jaknajszerszą samopomoc członkiń, która stwarza mnóstwo możliwości dopomożenia zrzeszonym paniom domu w doskonaleniu się w swym zawodzie, oraz dopomożenia budżetowi domowemu.

3. Oddziały Związku mogą powstawać przy udziale najmniej 6-ciu osób, które, do czasu zatwierdzenia statutu Związku, mogą prowadzić prace przygotowawcze i organizacyjne.

4. Władzę Oddziału, do czasu zatwierdzenia statutu, stanowi Komisja Organizacyjna Oddziału, wybrana przez grono założycielek, która pracuje w ścisłej łączności z Komisją Organizacyjną Związku w Warszawie, uznaną przez Zjazd za Centralę o charakterze organizacyjnym, informacyjnym i doradczym.

5. Panie domu, złączone w Oddziałach, opłacają składkę roczną zł. 6, z czego zł. 5 idzie na potrzeby Oddziału, zaś zł. 1 — na potrzeby Związku.

6. Siedziba Centrali mieścić się będzie narazie w lokalu Koła Studjów Gospodarstwa Domowego: Warszawa — ul. Marszałkowska 149 m. 6 — tam też należy adresować wszelkie zapytania i zgłoszenia.

Wyobrażam sobie, że powstawanie Oddziałów rozpocznie się, poczynając od większych skupień,

a więc miast i ośrodków przemysłowych; choć nie należy przesądzać, że właśnie z głuchej wsi wyjdą dzielne i zdolne organizatorki, które potrafią skupić do pracy zbiorowej panie domu w zakątkach, najwięcej nawet odsuniętych od zewnętrznego życia. Gdy znajdują się takie jednostki, rozumiejące znaczenie pracy społecznej i gospodarczej i posiadające bądź gruntowniejsze przygotowanie z zakresu gospodarstwa domowego, bądź tylko zdolności organizacyjne, to niewątpliwie pokonają wszelkie trudności i poprowadzą prace na swoim terenie.

Pierwszym krokiem przy rozpoczęciu prac organizacyjnych w celu zawiązania Oddziału jest zwołanie zebrania dla zapoznania najszerszego grona miejscowych pań z celami i zadaniami Związku Pań Domu.

Na takim zebraniu organizacyjnym należałoby wygłosić przemówienie, lub odczytać referat na tematy, wyjaśniające znaczenie sprawy gospodarstwa domowego, a więc: 1) znaczenie zrzeszania się pań domu, lub: co każda z nas zyskuje, należąc do Związku; 2) znaczenie podniesienia gospodarstwa domowego dla rodziny i kraju, albo: gospodarstwo domowe a dobrobyt kraju. Niezależnie od tego urządzić pokaz, lub lekcję praktyczną, co zawsze najwięcej panie domu pociąga, a przytem zaciekawia i uczy. Takie praktyczne pokazy zaznajamiają nas z dorobkami ostatniej doby, wyjaśniają, na czym polegają zmiany, tyjące się podniesienia poziomu gospodarstw domowych na Zachodzie, i wykazują jednocześnie, jak wiele jest rzeczy nowych, których się trzeba uczyć, aby dorównać zagranicy i nadrobić nasze zacofanie.

Takie lekcje i pokazy praktyczne mogłyby obejmować na przykład: 1) gotowanie na parze i skrócenie czasu gotowania niektórych potraw w celu zachowania im pożywności, z pokazem naczyń, do tego stosowanych; 2) ułożenie jadłospisu z uwzględnieniem zasad odżywiania dla przeciętnej rodziny średnio zamożnej; 3) rozplanowanie kuchni według zasad organizacji pracy i: co w każdej kuchni dałoby się zmienić, nawet bez nakładów pieniężnych — i t. p. Lekcję praktyczną dałoby się zorganizować tylko z pomocą siły fachowej, a więc instruktorki gospodarstwa domowego, zaproszonej z najbliższej znajdującej się szkoły zawodowej żeńskiej.

Sprawozdanie ze Zjazdu będzie zawierało również bogaty materiał sprawozdawczy, a łącznie z referatami i uchwałami stanowić będzie podstawę do prowadzenia propagandy na rzecz Związku Pań Domu. Sprawozdanie to zostanie wydane w pierwszej połowie grudnia i bezzwłocznie rozesłane wszystkim uczestniczkom Zjazdu.

Bardzo pożądanę, szczególnie w początkach, byłoby wejście w porozumienie z istniejącymi stowarzyszeniami kobiecymi: jeśli się nie dało utworzyć samodzielnego Oddziału, to narazie przy innych stowarzyszeniach takie Oddziały można by zapoczątkować.

Zyskawszy większą liczbę członkiń oraz pomoc i współdziałanie czynników miarodajnych, które, zainteresowane gospodarstwem domowym, jako sprawą ogólnego i pierwszorzędnego znaczenia, dopomogłyby w uzyskaniu lokalu, urządzeniu kursów lub t. p. — wtedy dopiero można myśleć o samodzielnej egzystencji, gdyż minimalne wpływy ze składek, które członkinie płacić będą na rzecz Oddziału, w początkach



muszą stworzyć dla organizatorek wiele trudności natury praktycznej.

Nasuwać się wreszcie pytania: jak prowadzić prace w Oddziale, gdy jest on już założony? Czem zainteresować członkinie i czym je zająć? Otóż winien być przemyślany rozkład prac, aby stopniowo rozwijać zainteresowanie, uświadczenie i zamięłowanie wśród członkiń sprawami, które składają się na cele i zadania Związku. Jeśli w danej miejscowości jest siła fachowa, należy ją zjednać do prowadzenia kursów praktycznych lub pojedynczych wykładów i pokazów. Gdy zaś takiej siły niema, trzeba byłoby rozpocząć systematyczne wspólne czytanie pism i książek z zakresu gospodarstwa domowego, przeprowadzać dyskusje, doświadczenia praktyczne na terenie własnych gospodarstw i t. p.

Bardzo ważne jest postawienie Oddziałów na gruncie samowystarczalności budżetowej, obmyślanie i zdobywanie środków na prace w Oddziale, na lokal i prenumeratę pism.

Wspólne zakupy przedmiotów codziennej potrzeby oraz wyjednanie niższych w sklepach miejscowych będzie pierwszą realną pomocą i korzyścią dla członkiń. Na takich właśnie poczynaniach rozwinęło swą działalność Koło Studjów Gospodarstwa Domowego w Warszawie, które, z grupy kilku pań domu, złączonych chęcią wzbogacenia swej wiedzy i znajomości gospodarowania, stopniowo wzrosło do poważnej i pożytecznej placówki społecznej i gospodarczej.

Wkońcu muszę nadmienić, że Komitet Organizacyjny Zjazdu, przewidując potrzebę przygotowania zastępów organizatorek ruchu kobiecego, zaprojektował urządzenie kursów dla kierowniczek Oddziałów, które, mając chęć zorganizowania Oddziałów w swoim najbliższym otoczeniu, nie czują się na siłach fachowo tej sprawy ująć. Kursy takie projektowane są na początek roku przyszłego, odbędą się jednakże nieinaczej, jak po skompletowaniu zapisów 32 słuchaczek. Szczegółowe wiadomości, dotyczące się programu i warunków, podamy w jednym z najbliższych numerów „Bluszcza”.

Narazie przypominam, że wszelkie zapytania należy kierować do Komisji Organizacyjnej Związku Pań Domu (adres podany wyżej).

Iza Mandukowa.

**Zróżdłowe, najnowsze wiadomości o racjonalnem odżywianiu zawiera zeszyt wydawnictwa**

**ŻYCIE PRAKTYCZNE**

p. t.

**JARSTWO i SUROWKA**

który powinien się znajdować w każdym dobrze prowadzonym domu.

**Cena 1 zł. 50 gr.,**

**z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.**

Wysyła Administracja „Życia Praktycznego” — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P. K. O. Nr. 170.

Za zaliczeniem, ze względu na wysokie koszty pocztowe, nie wysyłamy

## O UMOWACH SŁUŻBOWYCH WEDŁUG NOWEGO PRAWODAWSTWA AUSTRJACKIEGO

Jeżeli wierzyć sprawozdaniom stowarzyszenia służby domowej „Jedność” („Einigkeit”), los służby domowej w Austrii, a nawet w jej stolicy, Wiedniu, do chwili upadku cesarstwa, był pożałowania godny. Chlebodawca — w razie niestosownego zachowania się służącej — miał wszystkie prawa, do wymierzania kary cielesnej włącznie; miał prawo żądać odprowadzenia jej na miejsce służby w razie porzucenia go bez wymówienia posady przez chlebodawców. Jedyną władzą dla służby była policja, która zawsze i wszędzie przyznawała rację burżujowi, gnębiąc biedne proletariuszki.

Naturalnie, wiele faktów jest w tem sprawozdaniu przesadzonych, wiele wyolbrzymionych; istnieją może nawet zmyślane dla większego efektu. Jedno jest jednak pewne, że prawodawstwo przedwojenne mało się interesowało losem służby domowej, że prawo obyczajowe dawało zbyt dużo pola do wyzysku pracodawcom i że nowe prawa dla pomocników domowych (z 26 lutego 1920 i 26 marca 1926 r.), przeprowadzone przez partję socjaldemokratyczną, w większości paragrafów są sprawiedliwe, chociaż może nieco zbyt gwałtownie wprowadzają reformy stosunków pracowników i pracodawców.

U nas panuje powszechna niechęć do pracy służącej; uważa się ją za coś gorszego, coś uchybiającego godności osoby pracującej — podobno to samo miało miejsce w Austrii przed wojną. Poradzono temu, usuwając z prawa — a zatem i z obiegu — nazwę służącej; w Austrii obecnej istnieją tylko pomocnice domowe. Następnie włączono do tej kategorii wszystkich pracowników prywatnych, zostających w jakimkolwiek stosunku pieniężnym ze swoim pracodawcą, a zatem: bony, wychowawczynie, nauczycielki, nauczycieli, sekretarki i sekretarzy osobistych. Podzielono tylko wszystkich tych pracowników na dwie grupy: pracowników fizycznych i pracowników, oddających wyższe usługi — czyli pracowników umysłowych. Wpłynęło to niesłychanie dodatnio na ogół służących, które uważały to za równouprawnienie z pracownikami inteligentnymi, uważanymi dotąd za klasę wyższą. Nie jestem zupełnie pewna, czy pracownicy inteligentni równie chętnie tę reformę przyjęli. Przynajmniej do stowarzyszenia „Jedność”, liczącego tysiące członkiń z pomiędzy służby, przystąpiło zaledwie kilka dziesiątków tych pracowników umysłowych, mimo zapewnionych różnych drobnych przywilejów, w rodzaju formowania oddzielnej, autonomicznej grupy.

Zostały, naturalnie, wprowadzone Kasy Chorych, do których składki w dwóch trzecich obciążają pracodawcę, a w jednej trzeciej — osobę pracującą. W praktyce jest pomiędzy austriackimi i naszymi stosunkami ta różnica, że tamtejsze służące rzeczywiście swoją część składek same opłacają, czego się u nas prawie nie spotyka.

Obowiązuje też zabezpieczenie renty na starość, przyczem za wiek, uprawniający do pobierania takiej renty, jest uważane sześćdziesiąt lat skończonych. Jednak osoba, pretendująca do takiej renty, musi wykazać, że w ciągu ostatnich lat czterech — dwa lata przeszłą bez przerwy w jednym domu na stano-



wisku, upoważniającem do pobierania renty. Wobec częstych zmian służby, stanowi to w wielu wypadkach trudność, faktycznie pozbawiającą pracownice możliwości korzystania z tego prawa.

Aby zachęcić owe „pomocnice domowe” do dłuższego pobytu na jednym i tem samym miejscu, są przewidziane przez prawo nagrody: za dziesięć lat służby na jednym miejscu — gratyfikacja, wynosząca trzymiesięczną pensję; za każdy następny rok — dodatek taki, że po dwudziestu pięciu latach służby gratyfikacja wynosi całoroczną pensję.

Pensje są regulowane według kwalifikacji, posiadanych przez pracownice; dzieje się to na zasadzie porozumienia rządu, magistratu, związków zawodowych służby domowej i stowarzyszeń pań domu. Podam tutaj niektóre pensje, gdyż stanowią one ciekawy przyczynek do oświetlenia rzeczywistego położenia rzekomo źle płatnej służby w Polsce. Nie należy przytem zapominać, że chociaż austriacki szyling stoi nieco wyżej od naszego złotego (około 1 zł. 28 gr.), to zdolność jego kupcza, wobec szalonej drożyzny, panującej w Austrii, jest znacznie od złotego niższa. Płace służby domowej wzrosły tam od roku 1923 nieomal wczwórnasób, a ceny ubrań, czyli tych przedmiotów pierwszej potrzeby, które służąca za pensję nabywa, powiększyły się w tym samym stosunku, przeto służące na tej podwyżce nic nie zyskały.

Więc służąca do lat szesnastu ma pobierać 20 szylingów; służąca do wszystkiego — 30 szyl.; kucharka wykwalifikowana — 50 szyl.; kucharka za kucharza — 65 szyl.; zarządzająca domem — tyleż; niania ze specjalnem przygotowaniem fachowem — 60 szyl.; kamerdyner — 70 szyl. + ubranie do pracy; służący zwykły — 50 szyl. + ubranie do pracy.

Nie będę się wdawała w wyliczanie wynagrodzeń pracowników umysłowych, także bardzo niskich. Taryfa ta nazywa się minimalną i pracownik może zawrzeć umowę korzystniejszą dla siebie, prawo mu tego nie zabrania — lecz, niestety, stoją na przeszkodzie ciężkie warunki ekonomiczne w Austrii. Według danych, zebranych przez związki zawodowe pomocników domowych, nie mniej niż 69 proc. kucharek i pokojowych pracuje przy pensjach niższych, niż przewiduje taryfa minimalna; 45 proc. służących do wszystkiego, 54 proc. zarządzających domem, 76 proc. wychowawczyń, 56 proc. bon, i 50 proc. nianiek dzieli ich smutny los. A biuro stręczeń stowarzyszenia „Jedność” z dumą podnosi fakt, że w kilkudziesięciu wypadkach (na kilkanaście tysięcy) udało mu się ulokować swoje kandydatki na warunkach lepszych, niż przewidziane w taryfie minimalnej.

Wychodne, przez prawo przewidziane, wypada co drugą niedzielę od 3 popoł. do 11 wieczorem, czyli osiem godzin, i raz w tygodniu popołudniu 4 godziny dla załatwienia sprawunków, lub w celach samokształcenia. Pozatem dziewięć godzin przeznaczają się na sen i dwie godziny wśród dnia (oddzielnie lub łącznie) na posiłki i odpoczynek między godzinami pracy. Rzeczywista więc praca ma trwać trzynastą godzin. Sprawozdanie „Jedności” zaznacza jednak, że wobec trudności ustalenia godzin pracy w gospodarstwie domowym — pracy zupełnie innej, niż w fabrykach — ta część ustawy zostaje przeważnie martwą literą. Wychodne owszem są udzielane i w święta i w dnie powszednie. Chciałabym jednak widzieć, jakby się też czuła przeciętna warszawska służąca, przywykła — bez żadnego socjalistycznego prawodawstwa — wylać co niedziela i święto natychmiast po wczesnym

obiedzie i codziennie pod wieczór wychodzić na spacer (nieraz bez meldowania się) — gdyby ją ujęto w karby takiej najpostępowszej ustawy!

Urlopy letnie: tydzień po roku służby i dwa po upływie dwóch lat — połączone są z wypłatą należności za utrzymanie przez czas urlopu, co wypada dosyć drogo, gdyż naprzykład w Wiedniu wynosi 5 szylingów dziennie (przeszło sześć złotych). Ta wysoka opłata powoduje, że mniej sumienne gospodynie domu zwalniają służące z bylejakiej przyczyny przed chwilą nabycia prawa do urlopu. Stąd mnóstwo spraw w sądach pracy. Jeden dowód więcej, że najdoskonalsze prawodawstwo nie jest w możności ochronić przed nadużyciami i że nie prawa należy zmieniać, lecz ludzi wychowywać inaczej.

Dziwne się zdaje, że prawodawstwo, wnikające we wszelkie najdrobniejsze detale życia codziennego, np. każące dawać służącej na obiad wszystko to, co jedzą dorośli członkowie rodziny, nawet taką samą ilość mięsa i leguminy — zupełnie nie wspomina o kwestji przyjmowania odwiedzin przez służące.

Jest, oczywiście, mowa o konieczności udzielania służącym oddzielnego pokoju z oknem; niestety! większość nietylko starych, lecz i nowych domów jest tak budowana, że o tem nie pomyślano i służące sypiają przeważnie w kuchniach, w jadalniach, w przedpokojach, w wannach, a nawet są wypadki (o równości!), że służące dzielą sypialnię ze swoim państwem w liczbie mnogiej.

Pracownicy dzienni dotąd nie korzystają z dobrodziejstw Kasy Chorych, zabezpieczenia starości i tym podobnych świadczeń socjalnych; mają natomiast także ustaloną taryfę codzienną według kategorii wykonywanych prac — taryfę, uwzględniającą pracę z utrzymaniem, lub bez niego. Jest przewidziana płaca całodzienna i płaca za pewną ilość godzin pracy, co przy coraz częstszem wynajmowaniu pomocnic tylko do cięższych robót, daje możność gospodyniom wzięcia takiej pomocnicy na parę godzin dziennie.

Ze wszystkiego, co widziałam w Wiedniu w instytucjach opiekuńczych dla służby domowej, wyniosłam wrażenie, że nowe prawodawstwo nie wiele zmieniło. Może najwięcej podziałała zmiana nazwy. „Pomocnica domowa” brzmi ładniej, niż „służąca”, lecz pozatem... Rozdzwięk między pracodawczyniami i pracownicami trwa, podsycany przez socjalistyczne związki zawodowe. Z jednej i z drugiej strony są ciągle omijania i przekraczania praw. Wysokie pensje wcale nie dały większego dobrobytu pracownikom, gdyż w miarę podwyższania płac zwiększa się koszt robocizny i wszystko w tym samym stosunku drożeje.

Niemki austriackie są bardziej obowiązkowe i sumienne od naszych polek, a dzięki ciężkiemu (znaczenie cięższemu, niż u nas) położeniu ekonomicznemu Austrii, podaż rąk do pracy jest tak ogromna, że prawodawstwo zostaje martwą literą.

Pani Elżbieta.

## Komplety ręcznego tkactwa artystycznego

(pantofelki jedwabne), haftu, lalek i t. p. prowadzone przez stałą współpracowniczkę działu robót „Bluszczu”

Informacje telefoniczne do godziny 10-ej rano i od 3-ej do 5-ej po poł. Telefon 8-44-34.



## PRZEPISY GOSPODARSKIE

## FILETY Z RYBY W BIAŁYM WINIE.

Środkowe dzwono jesiotra, suma lub nawet dobrego kablana (wagi około półtora kilo) oczyścić ze skóry, zdjąć z ości, pokrajać na osiem równych, płaskich kawałków, lekko posolić, pozostawić tak na godzinę. Na dużym półmisku metalowym rozpuścić, nie rumieniąc, łyżkę masła, ułożyć na niem rybę, skropić obficie cytryną i topionym masłem, lub dobrą oliwą, podlać dwiema szklankami białego, lekkiego wina, przykryć drugim półmiskiem, lub brytfanną i wstawić w dobrze gorący piec. Po kwadransie przykrycie zdjąć, łopatką ostrożnie przewrócić filety na drugą stronę, uważając, aby ich nie pokruszyć; o ileby sos zanadto wyparował, podlać jeszcze szklankę wina. Obsypać otartą na tarce skórą cytrynową, nanowo przykryć i wstawić do pieca, aby ryba doszła. Podawać na tym samym półmisku, obłożone drążonemi kartofelkami z wody, lub cieniuchnemi fritkami. Ryba powinna pozostać biała, a sos musi się lekko wysadzić bez zaprawiania go mąką.

## NÓŻKI W GALARECIE.

Ta prosta potrawa, umiejętnie przyrządzona, może być nadzwyczaj smaczna. Najlepiej brać po połowie nóżki wieprzowe i cielęce. Na cztery takie nóżki (dwie wieprzowe i dwie cielęce) dodać sporą marchew, pietruszkę, por, pół selera, dwie cebule i dwa młode grzybki suszone. Zalać nóżki czterema litrami wody, bo długo się gotują i plyn bardzo wyparowuje. Po godzinie gotowania, przy starannem szumowaniu, włożyć oczyszczoną włoszczyznę, dziesięć ziarn pieprzu, listek, dwa goździki, odrobinę kwiatu muskatołowego. Gotować wolno na brzegu blachy, aż całe mięso z kości opadnie. Wyjąć je i pokrajać w drobne paski, starannie odrzucając drobne kostki. Tymczasem smak wysadzić do ilości półtora litra, sklarować paru białkami, przecedzić. Dodać doń pół szklanki białego wina, sok z cytryny, odrobinę skórki cytrynowej, osolić do smaku. W foremkach (najlepiej kamiennych) ułożyć parę jaj, ugotowanych na twardo i pokrajanych w talarki, listki zielonej pietruszeczki, płatki marchewki, ugotowanej w smaku, korniszonów lub grzybków. Mięso pokrajane dopiero teraz lekko posolić, ułożyć w foremki, zalać smakiem i wynieść na sześć godzin na chłód. Podając, wyrzucić na półmisek, ubrać zieloną lub jarzynową salatką i podać z sosem musztardowym, tatarskim, lub wprost z chrzanem i octem.

## MACIEK BARANI.

Ugotować wątróbkę, płuca i serce z młodego baranka, dodając marchewkę, pietruszkę, dwie cebule, listek, kilka ziarn pieprzu i ziela. Gdy wszystko miękkie, mięso wyjąć, przepuścić przez maszynkę. Dwie duże cebule przesmażyć z baraniną tłuszczem,

dodać piętnaście deka surowego loju baraniego, dwie wymoczone w rosole od baraniny i doskonale wyciśnięte bułeczki, przepuścić wszystko razem powtórnie przez maszynkę do mięsa. Płaski rondel, wysmarowany masłem i wysypany bułeczką, wyłożyć naleśnikami, upieczonemi z dwóch jaj i szklanki mąki. Masę mięsną posolić od smaku, trochę popieprzyć; jeśli zbyt sucha, wlać do niej kilka łyżek rosolu; wbić dwa jaja całe, wymieszać doskonale, ułożyć na naleśnikach i przykryć naleśnikami. Posypać bułeczką, skropić masłem i wstawić na pół godziny w średnio gorący piec. Po upieczeniu wyrzucić na półmisek i podać bardzo gorący. Na pozostałym smaku można zrobić rumiany sos korniszonowy czy cytrynowy, albo czysty sos pomidorowy i sos ten oddzielnie podać w sosjerce.

## LEGUMINA CZEKOLADOWA Z SAGO.

Dwanaście deka sago ugotować na mleku lub wodzie; gdy już prawie przezroczyste, przykryć rondel pokrywą, odstawić na brzeg blachy i trzymać tak około pół godziny, aby doskonale napęczniało. Wsypać w to dziesięć deka czekolady utartej, wymieszać doskonale, aby się czekolada w gorącym sago rozpuściła. Wystudzić masę zupełnie. Cztery żółtka utrzeć do białości z filiżanką cukru, zmieszać z sago, dodać pozostałe białka, ubite na sztywną pianę. Foremkę ogniotrwałą wysmarować masłem, nałożyć masę, upiec w średnio gorącym piecu. Gdy się ładnie zrumieni i podrośnie (zwykle siedzi w piecu około pół godziny), podawać w tem samym naczyniu. Do tego zimne mleko, śmietanka, lub sos waniliowy.

Pani Elżbieta.

## DROBNE OGŁOSZENIA

MIÓD karpacki, deserowy, leczniczy, z własnej pasieki 5 kgr. puszka, za pobraniem 25 zł. wysyła Dwór Rudenka p. Olśzanica k. Ustrzyk.

MŁODA OSOBA z ukończoną szkołą hodowli drobiu w Julinie, z praktyką i znajomością gospodarstwa, poszukuje odpowiedniej posady. Oferty do Redakcji dla Łowiczanki.

DOM ZDROWOTNO-WYPOCZYNKOWY DLA INTEGENCJI, na pobyt stały lub czasowy. W mieście-ogrodzie, okolica piękna, lesista, dom nowocześnie urządzonej (elektryczność, kanalizacja). Pokoje słoneczne, jedno, dwu, trzyosobowe z całonocnym utrzymaniem od 180 zł. miesięcznie. Dogodna komunikacja z Poznaniem, Łodzią, Warszawą. Stała opieka lekarska. Informacje: Krotoszyn, Wielkopolska, Staszica 1.

PANIENKA z 6-cio klasowym wykształceniem, pisząca na maszynie, znająca szycie i robótki, poszukuje zajęcia. Jest w bardzo trudnym położeniu. Referencje z Redakcji. Oferty do Redakcji dla Świecliczanki.

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.  
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.  
Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.  
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz”. Rymarska 8, tel. 244-18.



# Nasza Mównica

## Czy tylko rola kopciuszka lub interesu..

Długo po wakacjach wzywam się w swoje mieszkanie, a raczej uprawiam turystykę (tylko nie wysokogórska) bardzo bezpieczną, spacerową, wymagającą jednak cierpliwości: przy szukaniu książek i papierów. Wszystko dlatego, że w czasie moich wędrówek wakacyjnych po Polsce, wierna strażniczka wygasłego ogniska, „uartystyczniła” mieszkanie porządkowaniem. Następstwem tego szukania ciągle znajdowanie rzeczy właśnie nieszukanych, może umyślnie ukrytych w głębi wspomnień.

Ponieważ zapłakana pogoda jesienna usposabia do melancholijnych przeżyć, więc zagląda się w wolnych chwilach do książek-przyjaciół, no i do listów, które wskrzeszają najsilniejsze fale uczuć. Są przecież listy żywych i Zmarłych, bliskich, najbliższych; listy, świetne w ujęciu i niedołączne w formie, najmiłsze, moich przyjaciółek-uczennic z najmłodszych i najstarszych klas; rozrzucające listy przyjaciół z czasów plebiscytu, ślązaków z Opolskiego. Jednym słowem, listy szczęścia i bólu, powitań i rozstań; dokumenty pracy, nawiązanych uczuć, rozbudzonej myśli.

Oprócz tego uśmiechają się do mnie starzy przyjaciele książki, listy Mickiewicza, Słowackiego, Żmichowskiej, dokumenty psychiki, talentu, źródło pierwszorzędne do poznania psychiki twórców.

Przy tej lekturze narzucają się pamięci fakty doby obecnej: niechęć do pisania listów, granicząca z listofobją, chroniczne nieodpowiadanie na listy, niedołączna forma listu u wielu z młodzieży (szczególniej męskiej), zastępowanie korespondencji telefonem przez wiele pań i panienek nowoczesnych.

Jest to objaw tem dziwniejszy, że osoby te same lubią odbierać listy. Może to wszechwładna pani moda tak każe, może wymogi dzisiejszego życia uproszczonego, dążącego do skrótów, ułatwień? Może winna temu przestarzałość formy, jaką jest list, i dlatego należy się zgodzić na jego detronizację do roli Kopciuszka, lub ograniczenie do sfery interesów handlowych? A może właśnie ze względu i na dzisiejszość należałoby walczyć na ostro o list? Bo czy wypadkiem listofobia nie rodzi się z lenistwa, egoizmu, złego wychowania, braku serca, albo lekkomyślności; mniej lub bardzo mało z braku czasu, przemęczenia, wzmożonego tempa pracy i nieumiejętności wypisania się?...

Prawdą jest, że żyjemy w skrócie, upraszczamy sprawy miłości, pracy, odpoczynku, co się zaznacza choćby w skrótach językowych. Nastawieni jesteśmy na jak największą wydajność pracy przy stracie jak najmniejszej ilości energii i sugerujemy, że list się odrzuca, bo zabiera za wiele czasu w stosunku do swej wartości.

Tak wolno powiedzieć pracownikom o maksimum wydajności pracy. Cóż jednak zrobić, jeśli właśnie najbardziej „przepracowani”, gdy trzeba napisać list, są ludzie o minimum wydajności pracy?

A tymczasem, mimo postępów techniki, list pozostał w całej pełni: 1) najdokładniejszą formą porozumiewania się, poza rozmową; 2) źródłem różnych

przeżyć, podniętą do uczuć radości, lub smutku; 3) dokumentem do historii i kultury, narówni z pamiętnikami; 4) źródłem do poznania języka w historycznym rozwoju; 5) rodzajem literackim wielce kunsztownym ze względu na lepszą formę języka pisanego, niż mówionego; wreszcie 6) przedmiotem badań w psychologii nowoczesnej, uchylającym tajemnicę sfinksa, psychiki ludzkiej, co ma pierwszorzędne znaczenie np. przy badaniu okresu dojrzewania u młodzieży, gdyż jest to materiał, dostępny dla badań obiektywnych.

Listu nie może zastąpić w wielu wypadkach rozmowa bezpośrednia lub przez telefon, choćby dlatego, że „słowa ulatują, pisma zostają”; zresztą przez telefon rzadko można się wypowiedzieć, gdyż ktoś przeszkadza, podsłuchuje, czeka. Niektórzy ludzie dopiero w listach odsłaniają swe istotne oblicze.

Wobec tego należy chyba podjąć walkę z niepisaniem i nieodpowiadaniem na listy i zorganizować dla siebie selekcję listów i przechowywanie ciekawszych, ze względów wyżej przytoczonych. Ciekawe listy psychologiczne (naprzykład dzieci, młodzieży) możnaby odsyłać do pracowni psychologicznych (w Warszawie: prof. Stefan Baley, Plac Trzech Krzyży 8; w Poznaniu: Uniwersytet, prof. Błachowski Stefan; w Krakowie: prof. Szuman).

Z mego kultu dla listów nie wynika jednak listomanja, raczej przeciwnie: pragnę ją ograniczyć do pisania tylko wtedy, gdy jest o czem pisać. Można zresztą umówić się o częstotliwość pisania, nie wolno jednak nikomu z ludzi kulturalnych wyrzucić listu ze swego życia, albo ograniczyć się tylko do listów w interesach.

Wychowywanie się w tej atmosferze pomoże także do obalenia „nieumiejętności wypisania się” u ludzi piśmiennych, ba! nawet wykształconych.

Dr. H. Spoczyńska — Królewska Huta

## Dobry początek.

Nie jest zapewne odosobnione zadowolenie, z jakim powitałam w kronice „Bluszczu” rubrykę „z ubiegłego tygodnia”. Kobiety naogół mało zajmują się polityką, twierdząc, iż nie jest ona rzeczą piękną. Być może, lecz i o rzeczach niezbyt pięknych, które jednak osaczają nas szczerlnie, wiedzieć musimy, wiedzieć powinniśmy.

Trudno pomyśleć nawet, by kobieta lekarz, profesor, technik i t. p. nie śledziła uważnie posunięć na wielkiej szachownicy polityki światowej; ale czyż ma to być jedynie udziałem tych zawodów? Czyż zwykła, przeciętna kobieta, tak czy owak pracująca na nieznaną, szarej placówce, przechodzić ma obojętnie obok wielkich zagadnień, nie rzuciwszy na nie okiem i pozostawiać ową przysłowiową tabakę w rogu?

Niema nic gorszego, jak rozpolitykowane społeczeństwo, lecz wydaje mi się, że nieświadomość, ignorancja tego, w czem, chcąc czy nie chcąc, uczestniczymy, jest także zła. Kto nie idzie naprzód, cofa się,



a jakże iść potrafimy naprzód, nie wiedząc, co i jak dzieje się na świecie, w epoce, w której żyjemy? Te, pozornie niedotykające nas, sprawy, wypadki, zagadnienia odbijają się na naszym życiu codziennym, wciągają nas w swój pęd, bezmyślnie dajemy się nieść, nie zastanawiając się, co to jest, co nas niesie, co otacza sieciami, paraliżuje ruchy, czy napędnia energią.

Kobiety, skądinąd zupełnie inteligentne, czytają w gazetach tytuły poszczególnych artykułów, feljeton, kronikę. Artykuł wstępny? broń Boże! to nudziarstwo. Dlaczego? Powody bywają rozmaite: lenistwo umysłowe, brak zainteresowania się, ciągłości, lekceważenie dla spraw nie ze swego podwórka, niekiedy brak czasu. Dla tych ostatnich właśnie przeznaczona jest niechybnie rubryka „z ubiegłego tygodnia” i te panie są jedynie usprawiedliwione. Chciałyby, nie mogą; fizyczna niemożliwość, doba ma tylko 24 godziny.

Chociaż czasem, przy dobrej woli, znalazłby się jakiś kwadransik, jakieś pół godziny. Brakuje zaś zrozumienia ważności tej rzeczy: zmieści się Wallace, nie zmieszczą obrady w Genewie i wybory w Austrii. „Co mnie to obchodzi?!”. Otóż właśnie: trzeba tak rozszerzyć zakres swych zainteresowań, żeby nie było ważniejsze, że p. X zastrzelił panią Z, od wyboru księdza Seipla na ministra spraw zagranicznych. Trzeba otworzyć sobie szerszy horyzont, iść naprzód, rozwijać się; w rozwoju własnym szukać zadowolenia, stać się bardziej człowiekiem.

Kobieta, interesująca się rzetelnie wszystkimi przejawami życia współczesnego, będzie lepszą obywatelką, żoną, matką, towarzyszem. Potrafi mądrzej mówić, inteligentniej słuchać. Jakże często szczęście w małżeństwie rozbija się właśnie o ten nieuchwytny, ciasny horyzont; jak często przebiega przez niedostrzegalną jego linję zaufanie dzieci i mniej ważne, a przecież bardzo ważne powodzenie życiowe; jak często kobieta, mająca wszystkie dane ześrodkowania w sobie światła, piękna, dobroci, gaśnie powoli, zasklepia się, tępieje, a nie mogąc, z biegiem lat, zdobyć się na wysiłek zerwania z bezmyślnością, czuje się coraz bardziej upośledzona i nieszczęśliwa. Nie bierze w niczem udziału, jest wyrzucona poza nawias życia, nie staje się czynną częścią potężnej, dziejowej fali, lecz listkiem, na tej fali niesionym. A to o wiele zamało zarówno dla człowieka, jak i dla społeczeństwa.

Trochę więcej zatem dobrej woli, trochę więcej pracy nad sobą. Zaczniemy od rubryki „z ubiegłego tygodnia”; ufam, że, zainteresowane, pójdziemy dalej.

M. Czer.

### **Przebojem (w odpowiedzi p. „Innej”).**

Nieproszony, odpowiadam! I mimo, że w korespondencji Szan. Pani daje się wyczuć pogarda i nienawiść (i słuszna) do rodu męskiego, to jednak, jako mężczyzna, kreślę tych kilka słów, w celu odjęcia Jej tego piętna, które sobie sama w swej wyobraźni nadaje.

Nie będę się w tej sprawie posługiwał tylko frazesami, a przytoczę chociażby taki przykład (codzienny) z życia małżeństw legalnych, szanowanych. Oto matka (ślubna) pięciorga dzieci, z których tylko jedno jest legalnie poczęte, a reszta dzieci różnych ojców, nie doznaje ani ze strony otoczenia, ani też męża żadnych nieprzyjemności, nie słyszy dwuznaczników, o ile, naturalnie, jest o tyle sprytna i odpowiednio się maskuje; czy jednak jest sama ze sobą w porządku?

To już zależy od jej sumienia. Dzieci takiego małżeństwa, nigdy nie będą wiedziały, kto jest ich ojcem.

I proszę teraz określić, która z matek jest godna szacunku: czy ta z powyższego przykładu, czy też Matka Szan. Pani i Pani sama?

Teraz inny przykład (a takich też można sporo przytoczyć). Pensjonarka lupanaru opuszcza go, zmienia tryb życia, staje się kobietą i matką, w całym tego słowa znaczeniu, uczciwą. Czy nie godna szacunku? A takich kobiet znam kilka; synowie ich piastują wybitne stanowiska, mimo, że otoczenie wie o panińskim życiu matki.

Zastanawiając się nad tą sprawą głębiej, przyjdziemy do przekonania, że, jeśli kobieta, która z jakichś powodów zostaje matką nieślubną, z pełną rozumą podejmuje, nie zważając na otoczenie, ten naprawdę ogromny ciężar wychowania swego dziecka, i wychowa je na godnego człowieka i obywatela (a za taką Sz. Panią z Jej słów uważam), kobieta taka, przez swoje dalsze postępowanie i całe życie, zdobyła moralne szlachectwo i w zupełności się zrehabilitowała. Dzieci jej zaś z natury rzeczy uzyskują to samo. Poniżające mniemanie o matkach nieślubnych (godnych szacunku), należy dzisiaj do przestarzałych przesądów, do zabytków dość smutnych. Jeśli jednak Szan. Pani jeszcze z takimi jednostkami się spotyka, to proszę im w mem imieniu powiedzieć, że: „mają ptasi mózgi i nie widzą dalej, jak na koniec swojego nosa, lub noska”.

Kończąc, radzę, by Sz. Pani na te drobnostki nie zważała i dalej z pogodnym czołem kroczyła po raz obranej drodze, a jako drobną rekompensatę krzywdy, doznanej ze strony jednego z członków rodu męskiego, śle serdeczny uścisk dłoni z oddali i wyrazy szacunku dla Ciebie, zacna Matko! I tylko „przebojem”!

B. W.

### **Dlaczego wszyscy mają wiedzieć?**

Wszyscy ludzie bez wyjątku zgadzają się, że dzieci nieprawego łoża nie są winne swemu stanowi.

Wszyscy wiedzą, że rodzice pozbawili je opieki ojcowskiej i, najczęściej, domu rodzinnego; że oni (zwłaszcza ojcowie) skazali te dzieci na poniewierkę, nieraz na tułaczkę i pośmiewisko.

Mimo to, całe społeczeństwo przyczynia się do piętnowania tych niewinnych istot, skrzywdzonych już w zarodku życia, godząc się bezmyślnie na zapisywanie do akt ich „nieślubności”.

Dziwna rzecz! ojcu nieślubnemu nie wpisuje się do akt osobistych, że ma nieślubne dziecko, również i matce, choć ją zdradza niekiedy nazwisko panińskie; ale dziecku zapisuje się z reguły, że urodzone jest „z ojca N. N.”.

Dlaczego to właśnie dziecku? Przecież ono ślubu brać nie mogło?

To nie jest drobnostka, te litery. N. N. w metryce. Metrykę musi dziecko pokazywać w szkole, najpierw w jednej, potem w drugiej lub trzeciej, z metryki wypisuje się to „z ojca N. N.” do ksiąg szkolnych; nauczyciele czytają, nieraz przy wszystkich, nazwiska i imiona rodziców, opuszczając je u ojca dzieci nieślubnych. Tą czy inną drogą, łatwo przechodzi ta wiadomość do kolegów nieślubnego dziecka. I wtedy słyszy ono śmiechy, uwagi, przytyki, często także pogardliwe przezwiska.

Dzieciom się wydaje, że takiemu wolno dukać; korzystają one przecież z każdej okazji, by poprobować swych sił, i małe dziecko nieślubne staje się



łatwo celem drwin i zaczepek swych rówieśników, a co gorsza, nieraz i starszych.

Ale nie tylko o te wyzwiska i zaczepki tu chodzi.

Wyobraźmy sobie dziecko nieco starsze, przechodzące z tą metryką do nauczycieli. „*Ta przekłeta metryka!* jakże ja się z nią pokażę w szkole zawodowej?” pisze jakaś dziewczynka w liście do wychowawczyni.

Seminarzystka, student uniwersytetu może nie usłyszą już ubliżających uwag, a jednak z jakimże trudem metrykę taką pokazują.

Ale to nie wszystko. Przy zakończeniu szkoły, przy wypisywaniu świadectwa maturalnego, a nawet doktoratu, potrzeba znów metryki. Tu kandydat, czy kandydatka zdaje egzamin przed komisją, a na stole przed nimi leżą akta z ich metryką, z której widać wyraźnie grzech rodziców i ten prawnie i społecznie określony stan kandydata.

Wreszcie metryka wycofana ze szkoły. Trzeba ją będzie jednak przedłożyć w wojsku, na praktyce, czy u pracodawcy.

Czy padną uwagi, które, jakkolwiek delikatne, w tej sprawie zawsze ranią; czy nastąpi lekceważenie, może nieufność?

Czy pracodawcy nie rozniosą tej wiadomości? Może wszyscy naokoło będą o tem wiedzieli?

Wiem o fackie, że pewna panienska wahała się przyjąć posadę dobrze płatną, bo miała przedstawić zarządowi towarzystwa metrykę, wołała objąć posadę gorszą, przy której tylko jednej osobie musiała pokazać swe „świadectwo niemoralności”. A pokazywać je trzeba przy każdej zmianie posady, przy staraniu się o dowód osobisty.

Ten ciągły przymus „nieprzyzwoitej metryki”, to kamienie, rzucane przez bezmyślne społeczeństwo na jednostki, które mu nic nie zawiniły.

Chrystus bronił kobiety upadłej przed obrzucaniem kamieniami, mówiąc: „Kto z was jest bez winy, niechaj rzuci na nią kamieniem”. A my rzucamy kamieniami na dzieci rodziców nieślubnych przez całe ich dzieciństwo, i młodość, i wiek dojrzały.

Najciężej, czasami nawet śmiertelnie trafia ten kamień jednostki nieślubne w chwili zakładania przez nie własnego ogniska rodzinnego.

Znam dwa wypadki, w których dwie sieroty, dziewczynki, dorosły, nie wiedząc nic o tem, że ojciec ich do nich się nie przyznał; dopiero, gdy się zaręczyły i metryka była im potrzebna do ślubu, dowiedziały się o tem one i narzeczeni. W obydwóch wypadkach ci ostatni się cofnęli!

W innym wypadku narzeczona, chcąc zatrzeć ten złowrogi ślad, sfalszowała metrykę, za co ją sąd skazał na więzienie.

Jak jednak zmienić formularz metryki, żeby nie było w niej miejsca na to piętno? Są tam przecież wydrukowane wyrazy: Imię i nazwisko i zawód ojca; imię i nazwisko panińskiego matki.

Otóż sądzę, że te dane, co do imion rodziców i nazwiska panińskiego matki, winny być zapisane w księgach urzędowych. Natomiast wypis metryki, dawanej dla zwykłego użytku, może zawierać tylko imię i nazwisko dziecka oraz datę i miejscowość urodzenia i datę i numer zapisania w księgach.

Taka metryka starczyłaby w zupełności do celów szkolnych i zawodowych, a także wojskowych. Niewystarczająca byłaby jedynie w pewnych sprawach spadkowych i obywatelstwa. W takich razach jednakże możnaby było wystawiać metryki na specjalne żądanie w dotychczasowym brzmieniu. Zmiana taka, wymagająca początkowo sporo pracy, winna

być podjęta dla dobra dużego procentu obywateli Państwa.

Umniejśmy krzywdę wielu naszym współbraciom, jeżeli osiągniemy zniesienie zwyczaju wydawania tych krzywdzących dokumentów.

Wanda Szuman — Warszawa

### Potrzeba doboru (w odpowiedzi p. N. Jastrzębskiej.)

W związku z ciekawą dyskusją o czytelnictwie, która toczy się w „Mównicy”, chcę dorzucić parę uwag. Mnie się zdaje, że bardzo ważne jest wyrobienie sobie gustu, swego własnego, w czytelnictwie. Wiadomo, że człowiek nie jest w stanie przeczytać wszystkich rzeczy wartościowych. Niech więc wybiera te, które sprawiają mu specjalną przyjemność, które lubi. Z czytaniem jest, jak z muzyką. Jakaż piękna nieraz melodia, artystyczny utwór, ale nie nasz, nie czujemy psychicznego z nim łącznika.

To poczucie swego, odpowiadającego swemu rodzajowi, gustom, nastrojom rodzaju, o wiele silniej zaznacza się w literaturze. Jak potężnie działa na niektórych poezja, na innych wcale. Jedni wolą rzeczy historyczne, inni związane z podróżami, lub przyrodą. Tych entuzjazmują tragiczne przygody lub przeżycia wewnętrzne, innych spokojna, pogodna refleksja i pastelowe obrazy zwykłego, codziennego życia.

Trzeba więc nauczyć się wybrać. Powtarzam, nie można przeczytać wszystkiego. Należy naturalnie znać epokowe dzieła w literaturze, ale poza nimi, dobierajmy książkę do swojej psychiki. Bezwzględnie, tylko książkę wartościową w tym zakresie, ale taką, której rodzaj nam odpowiada. Wtedy książka stanie się nam przyjacielem, a my jej entuzjastami.

K. S. — Wołyń

### Na dobrej drodze.

W tygodniu ubiegłym odbyło się w Łodzi poświęcenie szkoły rękodzielniczej żeńskiej, stowarzyszenia kobiet „Przezorność”. Dyrektorką szkoły jest p. J. Szenajchówna.

A. W. — Łódź



Poświęcenie szkoły.